

AGNIESZKA GOLENIAK

Znani ludzie Grodziska
ROZMOWY



Publikacja wydana przez Urząd Miejski w Grodzisku Mazowieckim
z okazji jubileuszu 500 rocznicy nadania Grodziskowi Mazowieckiemu praw miejskich.

„Znani ludzie Grodziska – rozmowy”

Autor: Agnieszka Goleniak

Redakcja: Krzysztof Bońkowski

Nakład 500 egz.
Wydawca Urząd Miejski w Grodzisku Mazowieckim
ul. T. Kościuszki 12A
05-825 Grodzisk Mazowiecki
tel.: 22 755 55 34
faks: 22 755 53 27
e-mail: urzad@grodzisk.pl
www.grodzisk.pl

Opracowanie graficzne i skład: Ling Brett
Druk: db PRINT Polska Sp. z o.o.

Grodzisk Mazowiecki 2022
ISBN 978-83-64209-03-01
Autorzy fotografii: Aleksandra Skowron oraz Emilia Benedykcińska

PODZIĘKOWANIA

Nie byłoby tej książki, gdyby nie marzenia, a przecież wszystko zaczyna się od marzeń. Podczas wigilijnego spotkania pracowników Centrum Kultury w 2019 roku dwóch Panów Krzysztof Bońkowski i Łukasz Nowacki zagadnęli mnie: może coś napiszesz, bo zbliża się pięćsetlecie miasta?! Odpowiedziałam, że tak, bo podobne myśli przelatują mi przez głowę, ale jak to w życiu, ciągle coś staje na przeszkodzie. Nagle jak grom z jasnego nieba gruchnęła informacja o pandemii, więc wszystko poszło w zapomnienie. Dokładnie po roku postanowiłam, że zaczynam działać. Spotkania wigilijnego już nie było, ale jak bumerang wróciła myśl. I tak zrodziła się publikacja.

Szczególnie dziękuję Burmistrzowi Grodziska Maz. Grzegorzowi Benedykcińskiemu, który gospodaruje blisko trzy dekady w 500-lecie miasta. Dziękuję moim rozmówcom, którzy przyjęli zaproszenie, wiele podpowiedzieli a każde spotkanie było dla mnie przeżyciem i niezwykłą lekcją. Dziękuję Redaktorowi Naczelnemu Grodziskiego Pisma Społeczno-Kulturalnego Bogoria Krzysztofowi Bońkowskiemu, który zajrzał do moich rozmów i skierował mnóstwo cennych uwag. Dziękuję Ośrodkowi Kultury na czele z Dyrektorem Pawłem Twardochem. Pomocą służyli mi wszyscy pracownicy CK. Dziękuję Urzędowi Miejskiemu i Pani Sekretarz Anecie Caban. Dziękuję także mojemu proboszczowi księdzu Jarosławowi Miętusowi za dobre podpowiedzi.

Chciałabym, by te rozmowy stały się załączkiem pomysłów dla Czytelników, bo każdy z nas ma w sobie potencjał, aby zrobić coś dla Grodziska Mazowieckiego.

Agnieszka Goleniak

SPIS TREŚCI

Luiza Złotkowska	8
Piotr Zegarski	14
Kuba Jurzyk	20
Adam Szczepaniki	24
Andrzej Grabowski	28
Grzegorz Benedykciński	32
Dariusz Wnuk	38
Joanna Krupska	44
Mieczysław Nowak	52
Lukasz Nowacki	56
Remigiusz Makowski	62
Tomasz Siwiec	66
Wioletta Milczuki	74
Andrzej Sapija	78

*Wywiady dedykuję
moim synom, grodziszczakom Pawłowi i Jackowi,
Redaktorowi Naczelnemu Radia Bogoria Markowi Karczewskiemu,
oraz prezenterce Radia Bogoria Beacie Dominiak*

LUIZA ŻŁOTKOWSKA

ur. 1986



dwukrotna medalistka olimpijska w łyżwiarstwie szybkim,
ukończyła Akademię Wychowania Fizycznego
w Krakowie, radna Rady Miejskiej

Dlaczego Grodzisk stał się Pani miejscem zamieszkania?

Po przyjeździe na świat przez półtora roku mieszkałam w Zielonce, czyli po drugiej stronie Warszawy. Tam mieszkali rodzice mojej mamy. A gdy miałam właśnie półtora roku, mama poślubiła mojego ojczyma, mieszkańca Chrzanowa Dużego. I dlatego gmina Grodzisk Mazowiecki stała się moim domem. Odkąd sięgam pamięcią zawsze było to miejsce.

Szkolę podstawową kończyła Pani jednak w Milanówku.

Byłam najstarsza z trójki rodzeństwa. Okazało się, że dla młodego człowieka z Chrzanowa Dużego łatwiejsza była droga do Szkoły Podstawowej nr 3 w Milanówku niż do szkoły w Łąkach, gdzie do pokonania było przejście przez drogę 579. I dlatego mama zdecydowała się wystać mnie i moje rodzeństwo do Milanówka. Moje pierwsze koleżanki też były głównie z Milanówka. My w zasadzie mieszkaliśmy tuż przy granicy – dosłownie do granicy Milanówka mieliśmy dwieście metrów. I ja mojej mamie serdecznie dziękuję, że mnie postawiła tam do szkoły, ponieważ właśnie w tej szkole zaczęła się cała moja historia związana z łyżwiarstwem szybkim. Mój nauczyciel WF-u zaproponował mi wyjazd na trening. I potem się potoczyło.

Ważniejszy był dla Pani Milanówek czy Grodzisk?

Wtedy to ja w ogóle myślałam, że Chrzanów to jest pępek świata. W Chrzanowie było absolutnie wszystko. Był mały sklepik. My mieliśmy bardzo dużo ziemi, gdzie mieliśmy swój sad, swoje pola, a ja tam biegałam i trenowałam. Dla mnie nie było wtedy takiego rozgraniczenia, czy to jest Grodzisk czy Milanówek. Dzieci zbiegały się z okolicy i tak się żyło. Pamiętam taki moment w latach dziewięćdziesiątych, kiedy zaczęłam uprawiać łyżwiarstwo szybkie i latem treningi odbywały się na rolkach. Jeździłam wtedy po drogach, bo było mało samochodów. Asekurował mnie ojczym bądź mama

na rowerze. To nie była jazda rekreacyjna, kiedy je się batonika i rozmawia, tylko jedzie się szybko na rolkach i była to duża prędkość. Bardzo się cieszyłam, kiedy położono asfalt od ulicy Ludnej w Milanówku na drodze do Chrzanowa Małego i tam mogłam trenować. Trudno sobie to wyobrazić, ale moje pierwsze miejsce treningów łyżwiarskich było od Milanówka ulicą Chrzanowską do oczyszczalni ścieków.

Gdzie jeszcze można było trenować?

W zasadzie to były drogi w okolicy domu. Zakładaliśmy tam rolki i wychodziłam na drogę. Trzy razy w ty-

**POLECIAŁAM TWARZĄ NA
KOSTKĘ GRODZISKIEGO DEPTAKA,
STRACIŁAM W TYM WYPADKU
DWA ZĘBY I W WYŚCIGU JUŻ NIE
UCZESTNICZYŁAM**

godniu jeździłam na treningi na warszawskie Stegny i te wyjazdy były sprzed stacji w Milanówku.

Jako czternastolatka trenowała Pani również kolarstwo.

W okresie letnim jeździłam na rowerze w klubie Opty Grodzisk Mazowiecki. Moim trenerem był Lucjan Stefanek. Wraz ze mną na treningi kolarskie przychodziła Aleksandra Wnuczek. Byłyśmy równolatkami. Ścigałyśmy się razem, zajmując medalowe pozycje nawet w zawodach ogólnopolskich. W Grodzisku było organizowane kryterium kolarskie. Meta i start były na deptaku. Jako jedna z faworytek tegoż wyścigu dostałam nowe, świetne, szybkie, superlekkie koła. Złożono je tuż przed wyścigiem. Ale nie zgrywały się z moim rowerem i z powrotem założyły stare koła, ale nie wyregulowali dokładnie hamulców. Tuż przed startem użyłam hamulców, które zbyt mocno zadziały na koło i przekoziółkowałam przez przednie koło. Poleciałam twarzą na kostkę grodziskiego deptaka, straciłam w tym wypadku dwa zęby i w wyścigu już nie uczestniczyłam. Pan Lucjan przywiózł mi

WIDZIAŁAM WTEDY JAK SIĘ ZMIENIA GRODZISK I STWIERDZIŁAM, ŻE CHCĘ TU MIESZKAĆ. ZDECYDOWAŁAM, ŻE TO TU JEST MOJE MIEJSCE I TU KUPIŁAM DOM.

wtedy do domu statuetkę Fair Play za chęć startowania w wyścigu. Zęby udało się naprawić, ale wtedy stwierdziłam, że tyżwiarstwo jest bardziej bezpiecznym sportem niż kolarstwo. I wiele osób śmieje się, że gdyby nie ten wyścig i upadek, to może bardziej poształbym w stronę kolarstwa. Wtedy kończyłam szkołę z... tymczasowymi zębami. A od września zaczęłam naukę w szkole sportowej w Zakopanem już z nowymi jedynkami. A Aleksandra Wnuczek po wielu latach swojej kariery sportowej na szosówkach przestała jeździć indywidualnie. Zaczęła startować z osobą niewidomą w tandemie jako przewodnik. Wystartowała w Igrzyskach Paraolimpijskich w Rio de Janeiro w 2016 roku. I tam zdobyła złoty medal paraolimpijski. Śmiejemy się do pana Lucjana, że chciał wyhodować medalistkę olimpijską z letnich igrzysk z kolarstwa, a ma już dwie olimpijki medalistki, ale nie w tej dyscyplinie co chciał.

W czasach Pani przygody kolarskiej w Opty trenował również Eryk Stolarz, patron grodziskiego wyścigu kolarskiego.

Jeździłam z nim w jednej grupie. Uczył się w szkole gastronomicznej w Grodzisku i zmarł przedwcześnie w wieku dwudziestu kilku lat na nowotwór. Był moim bardzo bliskim przyjacielem. Pamiętam, że jak przyjeżdżałam do domu na święta Bożego Narodzenia, to on wraz z moją mamą gotowali potrawy i farsz do moich ulubionych pierogów. To było zaskoczenie, bo o niczym wcześniej nie wiedziałam.

Edukacja w szkole oddalonej o kilkaset kilometrów od domu dla nastolatki nie jest chyba wyborem oczywistym?

Byłam w pierwszej klasie gimnazjum w Milanówku na Żabim Oczku. Był maj. Miałam wtedy czternaście lat. Przyszłam do domu i powiedziałam mamie: chcę iść do szkoły sportowej.

Kropka. Mama stwierdziła, że do szkoły pójdę za dwa lata, jak skończę gimnazjum. Na zmianę zdania namawiałam mamę kilka dni. Kiedy się zgodziła, to zapytała, gdzie ta szkoła jest. Myślała, że w Warszawie, a nie w Zakopanem. Śmieję się, że młody człowiek do szkoły chodzi na piechotę i ja sobie sprawdzałam, że z Grodziska taka trasa pieszo trwa siedem dni i dziewięć godzin. We wrześniu pojechałam do Zakopanego do szkoły z internatem. Spędziłam tam pięć lat. Później, po maturze dalej jeździłam na tyżwach i na kolejne pięć lat wyładowałam w Krakowie na studiach. Byłam na uchodźstwie, ale na każde święta przyjeżdżałam do Grodziska. Wtedy znajomym musiałam tłumaczyć, gdzie jest Grodzisk, że trzydzieści kilometrów na zachód od Warszawy, między Żyrardowem a Pruszkowem. A potem już mówili, że tak, tak wiedzą gdzie, bo słyszeli o Grodzisku. To było bardzo miłe. Ta świadomość ludzi w Polsce bardzo się zmieniła na przestrzeni lat. Teraz mówię, że Pruszków jest pod Grodziskiem.

Mimo pięciu lat spędzonych w Krakowie, nie stał się on dla Pani domem?

Po studiach zaczęłam szukać swojego miejsca. Już nie miałam akademika, a w domu rodzinnym zrobiło się jakoś ciasno, mimo że do domu bardzo lubiłam wracać. Miałam medal olimpijski, trzysta dni w roku spędzałam na zgrupowaniach i tak naprawdę w tamtym momencie mogłam mieszkać wszędzie. Zaczęłam rozglądać się za swoim lokum. Wtedy czułam się obywatelem świata, bo byłam w kilkudziesięciu

państwach, a niektóre zwiedziłam dogłębnie. Widziałam wtedy jak się zmienia Grodzisk i stwierdziłam, że chcę tu mieszkać. Zdecydowałam, że to tu jest moje miejsce i tu kupiłam dom. Bardzo duże znaczenie miało to, że z Grodziska jedzie się krócej na lotnisko niż z niektórych miejsc w Warszawie. W tamtym momencie kluczowe dla mnie były wyjazdy na lotnisko – najczęściej odwiedzałam Berlin i w ogóle zachód Europy. Ale na swoim osiedliłam się w Grodzisku Mazowieckim.

Jak przyjmowała Panią lokalna społeczność, gdy pojawił się medalowy sukces?

Kiedy wróciłam z moim pierwszym medalem olimpijskim, to bardziej Milanówek mnie przyjął i jakoś docenił. Nie ukrywajmy, ja nie afiszowałam się z tym, gdzie mieszkam. Po drugie, byłam zrzeszona w licznych klubach poza Grodziskiem. Gdy zdobyłam drugi medal olimpijski, to świadomość mieszkańców Grodziska i władz miasta otworzyła się na mnie. Byłam zapraszana do szkół na różne spotkania z młodzieżą. Powrót z Igrzysk Olimpijskich to też niesamowite wspomnienia. Jeszcze w Kanadzie w Vancouver w jakimś wywiadzie powiedziałam, że bardzo lubię polskie jedzenie i pierogi. I jak byłam już w domu, to lokalny catering dostarczył mi pierogi. Poczta pantoflową rozeszła się wieść, gdzie mieszkam. Dostałam z każdego rodzaju pierogów po dwa kilogramy! Jedna z cukierni dostarczyła tort. To było jeszcze zanim zaczęłam reprezentować klub UKS Sparta Grodzisk Mazowiecki. Wcześniej nie było to możliwe, bo nie było sekcji tyżwiarzkiej w tym klubie. Miłe sytuacje były, kiedy szłam do sklepu, a ktoś głośno mówił: „to pani, to pani tu naprawdę mieszka?!”. Ludzie byli miło zaskoczeni. Śmieję się, że to była seria bezpłatnych usług, bo gdziekol-

wiek nie poształam, słyszałam: „ojeejku! nasza olimpijka! proszę nie płacić”.

To sympatyczne.

Tak, tak, tak. Bardzo pozytywne. Ta atmosfera była niezmiernie miła, za co wszystkim i każdemu z osobna bardzo dziękuję.

W końcu jednak została Pani zawodniczką grodziskiej Sparty.

Bo w klubie powstała sekcja tyżwiarstwa szybkiego za sprawą olimpijczyka, mojego kolegi Sławka Chmury. I powstał pomysł, żebym reprezentowała Grodzisk jako ambasador tego miejsca. I to wszystko się stało. Władze Grodziska bardzo przychylnie patrzyły na to, abym została takim sportowym ambasadorem.

Jest rok 2018 i Zimowe Igrzyska w Pjongczangu.

Startowałam w nich jako reprezentantka grodziskiego klubu UKS Sparta i jako pierwszy pełnowartościowy grodziski olimpijczyk. Gdy byłam w Korei, to w Grodzisku na ba-

GDY BYŁAM W KOREI, TO W GRODZISKU NA BANERACH BYŁO MOJE ZDJĘCIE Z NAPISEM: „GRODZISK MAZOWIECKI KIBICUJE LUIZIE”. TO MIAŁO DLA MNIE BARDZO DUŻE ZNACZENIE I BYŁ TO MIŁY CZAS.

nerach było moje zdjęcie z napisem: „Grodzisk Mazowiecki kibicuje Luizie”. To miało dla mnie bardzo duże znaczenie i był to miły czas. Codziennie dostawałam wiadomości od mieszkańców, zdjęcia na tle baneru i dużo ciepłych słów.

Mówiła Pani w wywiadach, że spotkania z dziećmi i młodzieżą grodziską są inspirujące.

Dzieci mnie inspirują. Zawsze uczestniczę w majówkowych jazdach na rolkach w Grodzisku. Jestem tam gwiazdą sportu, medalistką olimpijską, ale czasami sędzią. Czasami wręczam też medale, a za chwile wiązę rolki dzieciom. Czasem jest zabawnie, bo jak chodzę po tych szkołach i mówię dzieciom, jak trzeba dbać o siebie, opowiadam o zdrowym trybie życia, a później jestem w sklepie i sięgam po „pokusy”, a one to widzą i mówią obok do mamy: „patrz, mammo, olimpijka je słodycze!”. A w ogóle marzą mi się zajęcia

GRODZISK NADAL ROZWIJA SIĘ POD WZGLĘDEM INFRASTRUKTURY SPORTOWEJ. BUDOWANA HAŁA BĘDZIE DUŻYM ZASTRZYKIEM. TA WSZECHSTRONNA OFERTA SPORTOWA W GRODZISKU TO NASZ ATUT

w Parku Skarbków, gdzie mogłabym inspirować do ćwiczeń i zdrowego trybu życia nie tylko dzieciaki, ale i moje pokolenie.

Gdybym poprosiła o wymienienie przynajmniej trzech szczególnie ważnych dla Pani postaci z Grodziska, kogo by Pani wskazała?

Chociaż Sławek Chmura nie jest grodziszczaninem, to jest zaangażowany w sprawy naszego miasta. On był moim trenerem klubowym w UKS Sparta. Drugą osobą jest prezes UKS Sparta Paweł Pieniążek. Krzysztof Filipiak – mój pierwszy trener, a obecnie wicestarosta powiatu. I nie da się tego nie powiedzieć, bo także burmistrz Grzegorz Benedykciński, który otoczył mnie opieką, swoją, jak również gminy Grodzisk Mazowiecki. I dzięki temu byłam w stanie kontynuować moją karierę sportową.

Nazwa Grodzisk jest obecna u Pani w pracy, wśród znajomych i przyjaciół?

Dbam o to, by była obecna. Mam nawet pseudonim Lokalny Patriot. Wypracowałam taką

opinię o naszym mieście, że jeśli czegoś nie można załatwić albo coś trzeba na cito, to zgłaszają się do mnie, bo wiedzą, że u nas jest to możliwe. Wiedzą już, że mamy specjalistów w różnych dziedzinach i ludzie są życzliwi. Z dumą opowiadam, że nasze miasto ma długą historię, ma już 500 lat.

A gdzie obecnie Pani ćwiczy?

Głównie jeżdżę na rowerze. Nie powiem, że cały trening jestem w stanie zrealizować na terenie naszej gminy, ale wybieram kierunki w stronę Kozerek, Baranowa, Książenic i Radoń.

Grodzisk powinien jeszcze rozwijać kluby sportowe? Mamy przecież tego sporo.

Myślę, że jeszcze coś by się znalazło. Grodzisk nadal rozwija się pod względem infrastruktury sportowej. Budowana hala będzie dużym zastrzykiem. Ta

wszechstronna oferta sportowa w Grodzisku to nasz atut i dzieciaki mogą próbować wielu dyscyplin sportowych, a potwierdzone jest naukowo, że młodzież do czternastego roku życia nie powinna specjalizować się tylko w jednej konkretnej dyscyplinie sportowej. Właśnie powinna mieć bogatą ofertę i tak właśnie jest w Grodzisku. Nie mogę nie wspomnieć, że z mojej działki brakuje tu jeszcze takiego stałego lodowiska.

Które miejsca w Grodzisku mogą zaskakiwać?

To nasze sztandarowe miejsca, czyli Park Skarbków i Stawy Walczewskiego, gdzie jest namiastka dla ludzi lubiących uprawiać sporty wodne. Nasza gmina jest fajnie wkomponowana w tereny zielone, a niektóre miejsca świetnie zagospodarowane. Są też urokliwe stadniny na terenie naszej gminy. Chciałabym jednak, aby ożywić deptak. Grodzisk dla mnie był i wciąż jest i mam nadzieję, że będzie miejscem, gdzie chcę mieszkać, przebywać i budować swoją rodzinę.



PIOTR ZEGARSKI

ur. 1955



strażak OSP Grodzisk Maz., modelarz

Mieszka Pan w Grodzisku od urodzenia.

Urodziłem się przy ulicy Składowej 3 w Grodzisku. Tam, gdzie była kiedyś weterynaria. Od najmłodszych lat pamiętam, że ludzie przyjeżdżali tam ze zwierzętami, były nawet rasowe świnię. Całe dzieciństwo spędziłem na Składowej. Potem wyprowadziliśmy się na 11 Listopada i do dziś mieszkam w tzw. kolorowym bloku

Kiedy Pana rodzice zamieszkali na Składowej?

W czasie okupacji. Przed wojną mieszkaliśmy w Warszawie. Mama pochodzi z Mszczonowa, a tata z Brwinowa. Ojciec był prowadzony do obozu przejściowego w Pruszkowie, ale zdołał uciec. Później przebywał u teściów w Petrykozach. Bratowa mamy załatwiła mu robotę w Grodzisku, tam gdzie za PRL-u był dom partii, a wcześniej urzędowało gestapo. Sprzątał tam ogródek. Rodzice mieszkali tam od 1944 roku. Tu urodził się mój starszy brat, bo najstarsi bracia urodzili się w Warszawie.

Nigdy Pana nie kusito, żeby się gdzieś wyprowadzić z Grodziska?

Jestem grodziszczak. I powiem, że wraz z moją żoną mówimy, że nigdy byśmy się nie wyprowadzili do żadnego innego miasta. Nigdy. Nie wiem, może to taki wewnętrzny patriotyzm rodzinny. Kochamy to miasto. Jak widzę, że idą ludzie i rzucają peta, to strasznie mnie to denerwuje. Tu mieszkamy i pewnie na wieki wieków pozostaniemy. Ja się tu wychowałem. Nie wyobrażam sobie w innym mieście mieszkać.

Dużo zostało wspomnień z dzieciństwa? Jakies ważne miejsca?

Park. Był zaniedbany, ale dzieciakom to pasowało. To był taki busz, gdzie łąziłem po drzewach. Ganiałiśmy się w berka na stacji. Teraz bytoby to niemożliwe, bo ochrona by wypędziła. Znałem wszystkie okolicz-

ne ogrody. Chodziło się do nich na różne owoce, jabłka czy agrest czy jeszcze zielone porzeczki. W parku na rogu, gdzie dziś zjeżdżamy autem z wiaduktu, był ogród i wtedy mówiliśmy, że idziemy do babuszek na dzierzawę. Właścicielki mieszkaly w drewnianym domu po przeciwnej stronie 3 Maja. Pilnowały tego ogrodu, ale miały już chyba po osiemdziesiąt parę lat i nie dały nam rady. Tego było strasznie dużo. Stare komórki i piwnice. Kolega mieszkał w ka-

NIE WIEM, MOŻE TO TAKI WEWNĘTRZNY PATRIOTYZM RODZINNY. KOCHAMY TO MIASTO. JAK WIDZĘ, ŻE IDĄ LUDZIE I RZUCAJĄ PETA, TO STRASZNIE MNIE TO DENERWUJE.

mienicy z wejściem od 1 Maja i tam biegaliśmy do piwnicy. Czotgaliśmy się bez latarek, bo było nisko i ciemno.

A gdzie była Pana szkoła?

Pierwsze przyjęcia uczniów były w Piątce, tam gdzie dziś jest szkoła specjalna. Pierwsza i druga klasa była na rogu Kilińskiego i Kierłańczyków. I tużaliśmy się z roku na rok gdzieś indziej i nawet Piątka wynajmowała sale od Dziesiątki. Mam pamiątkę po szkole Piątce, kiedy byłem w ósmej klasie przenieśliśmy się z rzeczami ze starej szkoły specjalnej do Piątki przy Zondka, która wtedy nazywała się jeszcze 3 Maja. Na strychu był krzyżyk drewniany z Panem Jezusem. Ale to były takie czasy, że wisały portrety Ochaba, Cyrankiewicza, Gomułki czy Zawadzkiego, ale nie krzyż. I ja ten krzyżyk wziąłem. On do tej pory wisi u mnie w mieszkaniu. Zawsze księdzu po kolędzie mówię, że to jest krzyżyk ze Szkoły Podstawowej nr 5, który był wyrzucony na strych. A moje wychowawczynie w tej szkole, to pani Kamińska, Wiśniewska i Basia Bonikowska z domu Pasternak. Potem poszedłem do szkoły na Kilińskiego

na specjalizację mechanik precyzyjny, potem nastąpiła zmiana, więc kończyłem specjalizację mechanik maszyn biurowych.

Wówczas w krajobraz śródmieścia wpisana była kolejka WKD.

Jak byłem małym chłopcem, to kolejka WKD dojeżdżała do dworca PKP. Kolejka jeździła przez miasto. Cudowne to było. My mówiliśmy, że ona „buksowała”. Dojeżdżała do dzisiejszego przystanku autobusowego PKP, potem pierwszy wagon się rozpiął i jechał prawie do Kościuszki, zawracał drugim torem i zapinał się z przodu i odjeżdżał. My, mając wtedy dziesięć, dwana-

MY, MAJĄC WTEDY DZIESIĘĆ, DWANAŚCIE LAT, CZEPIALIŚMY SIĘ TEJ KOLEJKI, ŻEBY PRZEJECHAĆ KILKANAŚCIE METRÓW. TERAZ COŚ TAKIEGO BYŁOBY NIE DO POMYŚLENIA.

ście lat, czepialiśmy się tej kolejki, żeby przejechać kilkanaście metrów. Teraz coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Kolejny przystanek był niedaleko galerii handlowej przy ul. Sienkiewicza, a potem była Radońska. Jak przychodziły Święta Wielkanocne, to kupowało się u Pasternaka albo u Tondery kalichlorek i robiło się tzw. pęczki, czyli był mocno zawijany w szmatkę i kładziony na szynach. Motorniczy wiedział, że trzeba zwolnić i zaczynała się kanonada.

Były też charakterystyczne dla miasta postaci.

Pamiętam „Chlorka”. On był hipisem i guru grodziskich dzieci kwiatów. Miał burzę rudych włosów. Wszyscy znali „Chlorka”. „Chlorka” i „Szczota”, czyli Zdzisiek Grzesiewicz, mieszkali u nas w bloku, a Bogdan „Bohun” Lewandowski trochę dalej, bliżej bazaru. Byli inni, bo nosili długie włosy.

Myśmy wszyscy się znali. Ja też nosiłem długie włosy. Byli też tacy ludzie, którzy jak byłem młodszy i ich się zaczepiało, to wiadomo, że będą nas gonić. „Karmel” i jego żona byli niedotężni. Kiedy dzieci ich przezywały, to oboje przeklinali i rzucali w nas kamieniami. Był „Korek”, nosił taką nogę od stotu z powbijanymi gwoździami. Pamiętam też, kiedy przywożono Cyganów na milicję, ale nie wiem dokładnie za co. Posterunek był vis-à-vis Składowej, gdzie mieszkalem, więc widziałem, jak Cyganki lamentowały przed komisariatem, gdzie byli zamknięci ich mężowie czy synowie za jakieś przewinienia. Tych zaaresztowanych prowadzili

w kierunku konsumu, czyli sklepu zaopatrzeniowego dla wojska, a tam obok była restauracja „Syrenka”. Tam teraz zostały takie kolumnienki i to był Plac Perzanowskich. A naprzeciw stacji był sąd i ZURT czyli Zakład Usług Radio-technicznych i Telewizyjnych. Milicja

prowadzała tych aresztantów z baniuszką po jedzenie do tej restauracji i wracali na positek na milicję.

Gdzie spotykali się mieszkańcy w czasach PRL-u?

Naprzeciw kościoła były „Wysokie Stołki”, ale ten budynek jest już rozebrany. W tym miejscu jest dziś galeria handlowa. „U Suratki” można było kupić rzeczy, które w tamtych czasach trudno było dostać. Knajpa Oaza była przy 11 Listopada, na rogu Składowej. Tam gdzie była Adria na skarpie, to teraz jest bank. Ale to już późniejsze czasy. Była słynna piwiarnia Baryłka na rogu Harcerskiej i 11 Listopada, a nieopodal na Harcerskiej – Caro. Wcześniej przed Barytką był skup makulatury i butelek. Żeby pójść do kina Wolność, które było wtedy naprzeciwko stacji, sprzedawało się butelki i za 3,50 kupowało się bilet. Panie,

które pracowały w kinie, mnie wpuszczaly, znaly moich braci. Kino Stoń było na terenie Zakładu Tarcz Ściernych. Potem był tam klub i z przyszą żoną Elżbietą chodziłem na dyskoteki.

Który Grodzisk jest fajniejszy ten z lat dziecięcych czy obecny?

Dla dzieciaka tamten. A teraz też miło się patrzy na Grodzisk. Cieszymy się, że tak się zmienia.

Dużo tych miejsc zniknęło?

Na rogu Spółdzielczej i Kościuszki była knajpa Złoty Róg. Tam przychodził kolega z drugim kolegą, jak pracowaliśmy w jednej z firm. Byłem młodszy i nietrunkowy, więc do nich nie pasowałem. Oni często wspominali, że jak tam chodzili, to na początku tak ładnie się do siebie zwracali: ależ, Adasiu, konsumuj! Drugi na to: ależ, Edziu, konsumuj! Ale już po tym trzecim kielichu, to już bardzo brzydko mówili: żeby się nie zostało. W Grodzisku były wtedy przejazdy kolejowe: jeden na Przejazdowej, drugi naprzeciw więzienia, a trzeci na Bałtyckiej. Na Walczewskiego na stawach stała budka na czterech nogach pośrodku stawu i tam grywała orkiestra. Dowozili ją tódką obitą blachą, ale co skończyło się to granie, to tódka była już utopiona. A w ogóle Andrzej Walczewski był naszym pierwszym powojennym prezesem OSP w Grodzisku. Pierwszy samochód z demobilu w straży to był Canada Ford i był nazwany jego imieniem – Andrzej.

A pierwszy samochód w straży OSP w Grodzisku to był Florian i jego model też Pan zrobił.

Florian jest z 1934 roku. Zrobiłem wszystkie modele samochodów, które były u nas w straży. Nie zrobiłem tych, które jeżdżą. Potem zrobiłem Canada Ford, potem był Star 20, Star 21, Star 25, Star 244 i

Jelcze. Nasza straż działa od 1897 roku, czyli w 2022 obchodzimy 125-lecie działalności.

Te modele są z papieru?

Tak. 98 procent to papier, pomalowany farbami. Szybki, linki, sprężynki i węże nie są z papieru. Nawet zrobiłem jeden model bez farby, aby można było zobaczyć, że to naprawdę papier.

Strażacką naturą zaraził Pana teść, Kazimierz Prokopczyk.

Był naczelnikiem w grodziskiej straży długie lata. Miał synów, ale żaden nie poszedł do straży. Jak coś w straży nie poszło po jego myśli, to było mu żal i bardzo rozpaczał nad tym w domu.

Co takiego fascynującego jest w służbie pożarniczej?

Adrenalina jest niesamowita. Serce wali chyba ze 200 uderzeń na minutę. Jak syrena wyła, to tutaj się przybiegano i zastanowienie – co się dzieje? To przeżycie niesamowite. Byliśmy kiedyś wystani do pomocy w Kuźni Raciborskiej na Śląsku, gdzie był największy po II wojnie światowej pożar w Polsce. Nie zapomni się nigdy tej tony znad płonących lasów. Kiedyś pojechaliśmy gasić pustostan na Makówce. Drugiego dnia

ANDRZEJ WALCZEWSKI BYŁ NASZYM PIERWSZYM POWOJENNYM PREZESEM OSP W GRODZISKU. PIERWSZY SAMOCHÓD Z DEMOBILU W STRAŻY TO BYŁ CANADA FORD I BYŁ NAZWANY JEGO IMIENIEM – ANDRZEJ.

dogaszaliśmy ten pożar. Nagle widzimy tunę w Kuklówce i zwijamy się, chociaż to nie jest nasz rejon. Później okazało się, że paliło się u mojego kolegi Marka, który był prezesem

straży w Kuklówce. To był okropny pożar. Uratowaliśmy stodołę sąsiadowi. Palily się zabudowania koto kościoła. Był taki żar, że zaczynała odklejać się farba z samochodu.

MIAŁEM WYSTAWĘ WE FRANKFURCIE W BYŁYM KOŚCIELE, GDZIE TERAZ SĄ HALE WYSTAWOWE, W SŁUBICACH W SZKOLE, W WARSZAWIE, W TORUNIU CZY RADOMIU. TU W OKOLICZNYCH MIEJSCOWOŚCIACH TO CHYBA WSZĘDZIE

Zwierzęta popaliły się na podwórku. Nie mieliśmy takich specjalistycznych ubrań jak dzisiaj, nie mogliśmy dojść z prądem wody do źródła, aby to gasić. Najbardziej żal wtedy przy tych pożarach ludzi, którzy tracą wszystko. W Izdebnie kiedyś piorun strzelił w chatupę i zapaliła się. Szczapy słomy z dachu leciały w zboże i zapaliło się pole. Właściciel miał krowinę, która była pewnie jego żywicielką, ale też spaliła się w oborze. Serce boli, bo to wielki ludzki smutek.

Pierwszą wystawę modeli miał Pan w Radogoszczy w 1998 roku?

Wspólnie mieliśmy wystawę z Jurkiem Matrzakiem, bo ja miałem za mało modeli. Ta wystawa przedstawiała dorobek różny. Były nie tylko pojazdy pożarnicze, ale czołgi, sa-

moloty i okręty. Aby obejrzeć jego niektóre modele, trzeba było używać specjalnej lupy. Niezwykłe są te jego prace, bo bardzo dokładnie wykonane. Potem miałem kilka wystaw

w Parku Skarbków, bo już pracowałem w Polfie i zakład mi to umożliwił. Były takie lata, że miałem po sześć, osiem wystaw w roku. Bardzo lubię jeździć na wystawy. Najpiękniejszą miałem w Ożarowie Mazowieckim w hotelu Mazurkas, w świetnie przygotowanej przez organizatorów sali. Miałem wystawę we Frankfurcie w byłym kościele, gdzie teraz są

hale wystawowe, w Stubicach w szkole, w Warszawie, w Toruniu czy Radomiu. Tu w okolicznych miejscowościach to chyba wszędzie. Miałem też wystawy na odpustach. Ludzie chcą takie modele kupić, a one nie są do sprzedania.

A w Grodzisku gdzie chciałby Pan mieć wystawę?

Na deptaku. Trwałaby jeden dzień i najwięcej ludzi by ją zobaczyło. Do tego potrzebny jest stół, taki ze trzydzieści metrów długości.

Na Żwirki i Wigury powstaje nowa strażnica OSP. Pana modele też znajdą tam swoje miejsce?

Będzie tam taka izba pamięci. A jest co pokazać. Jeszcze jedna straż udostępni nam swoje eksponaty. Oprócz modeli wystawimy wiele starego sprzętu strażackiego, dziś spotykanego tylko w muzeach.



KUBA JURZYK

ur. 1992



wokalista i aktor dubbingowy, współtwórca
i wykonawca Studia Accantus

Gdzie dla Pana jest początek Grodziska?

Moim początkiem była dzielnica Łąki. Przeprowadziliśmy się tu z rodzicami z ul. Grunwaldzkiej, gdzie nadal mieszka moja babcia. Pierwszą klasę podstawówki kończyłem jeszcze w Szkole Podstawowej nr 6, ale już do drugiej klasy poszedłem w Czwórcę przy Zielonym Rynku, gdzie uczyłem się do końca gimnazjum. Tam zaczęło się dla mnie i harcerstwo, i śpiewanie. Naszymi druhami były Asia Kapuściak i jej mama Ola Kapuściak, które zauważyły, że „coś” słyszę i potrafię zaśpiewać. Moje zdolności dostrzegła również Cecylia Kotowicz, która uczyła religii. W mojej rodzinie od zawsze była muzyka. Od pradziadka Stanisława, który grał na skrzypcach i klarncie oraz prowadził orkiestrę strażacką, przez dziadka Tadeusza, z którym zawsze przy rodzinnych spotkaniach wspólnie śpiewaliśmy i kończąc na ojcu, który występował w Zespole Pieśni i Tańca Uniwersytetu Warszawskiego „Warszawianka”.

Z czym kojarzy się Panu Grodzisk?

Z Chetmońskim. Bo wszędzie w mieście wiszą jego obrazy. Moje osobiste skojarzenie to również piłka nożna, bo takie miałem środowisko. Chodziliśmy na mecze Pogoni, która teraz jest w II lidze, a wtedy grała w niższych ligach. Kojarzy mi się Grodzisk także z odpoczynkiem, bo tu mam dom rodzinny, o który dbam, oraz mamę. To ognisko domowe. Przyjeżdżam tak często, jak tylko jest to możliwe, i jest to bardzo miłe widzieć wszystkich sąsiadów, którzy zza płotów machają, pozdrawiają, witają, pytają co u mnie. Bo też śledzą internet i moje działania. Tu są takie dobrośiadzkie stosunki

– jak kiedyś po ulewnych deszczach sąsiada zalało, to wziętem wiadra, kalosze i pomagałem wyciągać wodę z piwnicy. A gdy ja czegoś potrzebuję, to też mogę liczyć na pomoc.

Jaki obraz Grodziska wyłania się z najwcześniejszych wspomnień?

Nie pamiętam, co było przed deptakiem, w mojej pamięci on istnieje od zawsze. Pamiętam świetne zapiekanki. Jak babcia mnie odbierała z przedszkola, to ciągnąłem ją właśnie na deptak. Były tam też znakomite lody w kamienicy, która jest już wyburzona i na jej miejscu powstaje nowy blok. Po przeprowadzce na topie były Szwedzkie Górkki. Pierwsze randki, spacer, wycieczki rowerowe, spotkania z kumplami. Przez Górkki Szwedzkie jeździliśmy na Chlebnię, do mojego pierwszego klubu piłkarskiego LKS Chlebnia. Później trenowałem w Pogoni.

Uczęszczał Pan do Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Grodzisku. To dobre miejsce na rozpoczęcie edukacji muzycznej?

Uczyłem się w klasie saksofonu. To był pomysł mojego ojca, który wystąpił i mojego brata. Rodzice stwierdzili, że ta szkoła jest ogólnorozwojowa. I zgadzam się z tym w pełni. To jest świetne miejsce na kształcenie muzyczne dzieci.

Szkoła znajdowała się już w Dworku Skarbków?

W Dworku Skarbków szkołę kończyłem. Budynek był tuż po remoncie, dla nas to było coś niesamowitego. Bo zaczynałem, gdy szkoła mieściła się przy ul. 11 listopada, na czwartym

GRODZISK KOJARZY MI SIĘ TAKŻE Z ODPOCZYNKIEM, BO TU MAM DOM RODZINNY, O KTÓRY DBAM, ORAZ MAMĘ. TO OGNISKO DOMOWE

piętrze. Te schody to była gehenna. Pamiętam mojego nauczyciela Józefa Macha. Mówiono wtedy, że to profesor, który gra w Orkiestrze Wojska Polskiego. I faktycznie, trochę musz-

try wprowadzał. Niestety, profesorowi nie udało się zachęcić mnie do grania, bo... zawsze chciałem śpiewać. Na rok czy dwa w zastępstwie zostałem przydzielony do jazzmana Mariusza Kozłowskiego i naprawdę niewiele zabrakło, żebym teraz grał na saksofonie.

Szkola w Łąkach też miała udział w Pana rozwoju artystycznym?

Wychowawczynią była pani Renata Gowin, która dalej uczy muzyki i plastyki. Gdy był jakiś konkurs, koncert albo występ, jeździła ze mną do Międzyborowa, Podkowy Leśnej czy Milanówka. Występowałem również w jaseł-

weł Twardoch. I dobrze to wspominam. To było niesamowite połączenie. Cieszę się, że mogę śpiewać na tej scenie, mimo że przecież moje życie zawodowe toczy się głównie w stolicy.

Brakuje Panu Grodziska na co dzień?

W Warszawie łatwiej mi się żyje, bo tam są studia dubbingowe, tam jest Studio Accantus, a tu przyjeżdżam i oddycham. Lubię tę salę pełną ludzi, których znam, sąsiadów, znajomych. Fajnie spotkać burmistrza Grzegorza Benedykcińskiego, którego poznałem na swoich pierwszych występach. Wtedy byłem kajtkiem, a on cały czas wszystko pamięta i przypomina: było super!

Chciałby Pan tu wrócić na stałe?

Tak. Pracuję w całej Polsce, więc co za różnica, gdzie będę mieszkał. Marzy mi się, że wydam pierwszą płytę,

potem kolejne i tu wrócę. W Grodzisku mam wszystko, czego mi potrzeba.

Ulubione miejsca też Pan ma?

Jestem zauroczony rewitalizacją całego miasta. Pamiętam Stawy Goliana, gdzie z harcerzami topiliśmy marzannę. Tam był dramat, bo trzeba było uważać, by nie podpalić zielska wokół.

Nie wiem, czy mam ulubione miejsca, bo lubię przebywać w wielu miejscach tutaj. W Parku Skarbków wszędzie można posiedzieć, jest mnóstwo przyjemnych restauracji. Uważam, że Grodzisk w bardzo krótkim czasie stał się europejskim miastem. Przywożę tu znajomych i te wszystkie miejsca im pokazuję. Mówię im: tu dworzec, deptak, tu coś się będzie budować.

Jestem totalnie zauroczony Grodziskiem. Trochę mnie może zastanawia rozbudowa tych wszystkich nowoczesnych blokowisk i miejsca, które kiedyś przerażały, zamieniają się w apartamentowce. Skala jest ogromna. Ale z drugiej strony to zrozumiałe – stąd jest wszędzie blisko, więc ludzie chcą tu mieszkać.

MARZY MI SIĘ, ŻE WYDAM PIERWSZĄ PŁYTĘ, POTEM KOLEJNE I TU WRÓCĘ. W GRODZISKU MAM WSZYSTKO, CZEGO MI POTRZEBA

kach przygotowywanych przez panią Cecylię Kotowicz, panią Renatę Gowin i panią Martę Żótkiewską. Pani Asia i Ola Kapuściak zabierały mnie z zuchami na przeglądy piosenki do starego Kina Wolność. Pamiętam pierwszy przegląd piosenki harcerskiej, w którym wystartowałem w kategorii zuchów, ale nagrodzono mnie w kategorii harcerzy.

Były jakieś niezapomniane występy na grodziskich scenach?

Pamiętam sceny plenerowe wystawiane przed Centrum Kultury i w Parku Skarbków. Jednak w parku na takiej bardzo dużej scenie jeszcze nie występowałem. Uwielbiam scenę w Centrum Kultury, bo ona jest niesamowicie dobrze przygotowana. Miałem okazję wystąpić tutaj z Grodziską Orkiestrą Rozrywkową. Lubię wracać do repertuaru Zbyszka Wodeckiego i lubię wracać do Grodziska. Miałem przyjemność zagrać z orkiestrą i zespołem Zbyszka Wodeckiego, z którym przez wiele lat współpracował dyrektor Centrum Kultury Pa-

Z Pana perspektywy stereotypowy podział Grodziska na miasto i Łąki odpowiada rzeczywistości?

Naturalną granicą są tory kolejowe. Łąki mają swoją specyfikę. To jest oddzielna i przemysłowa część miasta od zawsze. Kiedy moi rodzice się tu budowali, to trzeba było przywieźć ponad sto wywrotek ziemi, żeby podnieść teren. Są jeszcze łąki, które są łęgowiskiem dla ptactwa, łąki, gdzie żaby rechoczą. Znam te Łąki, które były bezkresem, gdy stawano się na Górkach Szwedzkich i obserwowano krajobraz.

Grodzisk mógłby być bardziej muzyczny niż jest?

Miejsce do grania jest. Miejsce do promowania muzyki w postaci rozgłośni radiowej jest. Jest dobra infrastruktura dla rozwoju muzyki. Nie wiem, czy można zrobić coś więcej.

Czuję, że ten obszar jest dobrze ogarnięty.

A genius loci tego miasta?

Grodzisk jest dla mnie własnym bytem. Tu zrobisz zakupy i nie musisz po wszystko jeździć do Warszawy. Tutaj możesz żyć i nie potrzebujesz stąd wyjeżdżać. Przecież kiedyś jeździło się do kina do Janek, czekaliśmy z kolegami i koleżankami na darmowe autobusy i spędzaliśmy tam całe popołudnie. A teraz kino na poziomie mamy na miejscu. Jest szpital, basen, hala sportowa, a powstaje kolejna – nowoczesna jeszcze większa. Często wyobrażałem sobie taki obrazek, że idzie się od kościoła św. Anny w stronę stacji, jest odpust i stoją te stragany, a deptak kończy się... morzem. A teraz wystarczy tylko trochę zmienić kurs no i mamy Stawy Walczewskiego, gdzie można popływać rowerkiem wodnym czy położyć na plaży. Doczekałem tego momentu, że jest coś takiego. Jestem dumny z tego miasta.



ADAM SZCZEPANIK

ur. 1941



artysta ludowy, rzeźbiarz, Honorowy Obywatel
Grodziska Mazowieckiego, laureat Nagrody im. Oskara Kolberga

Wiele osób sądzi, że w gminie Grodzisk mieszka Pan od urodzenia.

Mieszkam na Wólce Grodzkiej od 1975 roku. Pochodzę z Antoniówki Wilczkowskiej koło Maciejowic. Urodziłem się 8 lutego 1941 roku w czasie drugiej wojny światowej. Rodzice prowadzili gospodarstwo rolne, ale kiedy Sowieci stanęli nad Wisłą, najpierw mieszkaliśmy w ziemiance w okopach, a później przenieśliśmy się do spokojniejszej miejscowości, którą była Kornacica koło Garwolina. Po wojnie Antoniówkę często nawiedzały powodzie. W zasadzie zawsze na wiosnę była tzw. powódź lodowa, a w czerwcu była druga, która wypadła na św. Jana Chrzyciela. Powodzie powodowały utratę większości dobytku. Były niszczone uprawy rolne i bywało, że zwierzęta domowe również się topiły.

Pewnego razu powódź lodowa zniszczyła drewnianą kapliczkę Matki Bożej. Tata do gipsowej figury Maryi wyrzeźbił drewnianą głowę i ją doprawił do niej. Ale tak naprawdę jego twórczość ludowa zaczęła się po śmierci żony Stefanii, czyli mojej mamy, która zmarła w 1962 roku. Patrzyłem, jak tata ze smutku brał kawałki drewna i w nich dłubał. Kiedy wróciłem z wojska w 1964 r., chciałem też tak jak tata rzeźbić. Tata rzeźbił bardziej prymitywnie, a ja chciałem go poprawić. Potajemnie przed sąsiadami wspólnie rzeźbiliśmy. Jednak pewnie listonosz doniósł innym, że rzeźbimy, i nami zainteresował się dyrektor Domu Kultury w Garwolinie. Pierwszą wystawę naszych rzeźb mieliśmy właśnie tam.

Jak to się stało, że przyjechał Pan do Grodziska?

Żona Halinka przed ślubem pracowała w Warszawie i wynajmowała mieszkanie na tyłach placu Wolności w Grodzisku Mazowieckim. Przez to, choć pochodziła z Warmii, również była związana z ziemią grodzką. Chciała,

abyśmy się przeprowadzili do miejsca bardziej bezpiecznego, tam gdzie nie będzie powodzi. Najpierw szukaliśmy miejsca koło Błonia, ale najbardziej spodobało się na Wólce Grodzkiej, ponieważ był tam mały stawik, a jednocześnie było blisko do miasta. Wtedy postanowiliśmy kupić tam ziemię i dom. Przeprowadziliśmy się jesienią 1975 roku z dwoma synami Arkadiuszem i Piotrem. W następnych latach przyszły na świat młodsze nasze dzieci: Anna, Krzysztof i Małgorzata.

NAJPIERW SZUKALIŚMY MIEJSCA KOŁO BŁONIA, ALE NAJBARDZIEJ SPODOBAŁO SIĘ NA WÓLCE GRODZKIEJ, PONIEWAŻ BYŁ TAM MAŁY STAWIK, A JEDNOCZEŚNIE BYŁO BLISKO DO MIASTA.

Pamięta Pan pierwszą rzeźbę stworzoną tu, w Wólce Grodzkiej?

Pierwszą taką rzeźbą była kapliczka Chrystusa Frasobliwego, przy której w maju śpiewaliśmy litanie do Matki Bożej, a w czerwcu litanie do Serca Pana Jezusa.

Co Pana zainspirowało do stworzenia tej rzeźby?

Inspiracją do wyrzeźbienia pierwszej takiej rzeźby był wybór na Stolicę Piotrową kardynała Karola Wojtyły. Figura Chrystusa Frasobliwego została umieszczona w kapliczce, na której po prawej i po lewej stronie pojawiły się płaskorzeźby Matki Bożej Częstochowskiej i św. Jana Pawła II. W 1983 roku powstały jeszcze dwie większe kapliczki wyrzeźbione w cemencie. W lecie tegoż roku została odprawiona msza św., podczas której te kapliczki zostały poświęcone. Bywało w innych latach, że prowadziliśmy nabożeństwa majowe i czerwcowe razem z sąsiadami, a w Zielone Świątki podczas obrzędu poświęcenia pól ksiądz proboszcz odprawiał przy tych kapliczkach mszę świętą.

W jakim drewnie Pan rzeźbi?

W lipowym. Na Antoniówce nie było lip. Tutaj, jak się dowiedzieli, że rzeźbię w drzewie lipowym, to ludzie sami mi przywozili drewno.

Miejscowi dobrze przyjęli nowych sąsiadów?

Przyjęli nas życzliwie. Dobrzy ludzie nam pomagali. Tę pomoc również odwzajemniałem poprzez pożyczanie naszej kłaczki do pracy w polu.

Bardzo inny był wtedy Grodzisk?

No inny. Na przykład targ był na tzw. żydowskim placu, bliżej ul. Spółdzielczej. My tam sprzedawaliśmy nasze warzywa i owoce. Obecnie w tym miejscu już go nie ma. Ale przez te ostatnie lata, dzięki mądrej trosce burmistrza Grzegorza Benedykcińskiego o dobro wspólne, Grodzisk bardzo się rozwinął i stał się pięknym i nowoczesnym miastem. Cieszę się, że dane jest mi w jego okolicy mieszkać.

i autokarowych. Zwiedzali, ale też mieli ogniska i warsztaty rzeźby.

Jakie Pana rzeźby można zobaczyć w Grodzisku i okolicy?

Na grobie żony, na nowym cmentarzu komunalnym w Szczęsnem, zrobiłem Chrystusa Miłosiernego z Najświętszym Sercem i figurkę Matki Bożej Niepokalanej. Żona, podobnie jak ja, była twórczynią ludową. Wielokrotnie otrzymywała nagrody na festiwalach folklorystycznych za swoje prace. Zajmowała się przede wszystkim hafciarstwem i ozdobami z bibuty. Wykonywała piękne kwiaty z krepiny. Bardzo przeżyliśmy jej ciężką chorobę i śmierć w 2008 roku. Za jej życia wspólnie wystawialiśmy nasze prace. Obecnie moje rzeźby można zobaczyć w kościele Przemienienia Pańskiego w Grodzisku. Również zbudowałem kilka cementowych kapliczek, np. w Izdebnie Kościelnym i przy domu mojej teściowej Genowefy, na Wólce Grodzkiej. Były też kapliczki, których

renowacji się podejmowałem, np. na Chlebni. Najwięcej moich prac jednak jest w mojej galerii na Wólce Grodzkiej. Duża część prac mojego taty Ludwika, a także moich jest u profesora Mariana

na Pokropka w Otrębusach w jego Muzeum Etnograficznym. Moje rzeźby są również w naszym Ośrodku Kultury w Grodzisku.

Przy okazji różnych miejskich uroczystości odgrywa Pan hejnał na ligawce. Ten okazały instrument jest raczej mało popularny.

Ligawki zacząłem tworzyć od roku 1996 po tygodniowym pobycie wspólnie z żoną na tzw. Sabatowych Bajaniach w Bukowinie Tatrzańskiej. Tam widziałem góralskie trąbity i przypomniałem sobie, że na Antoniówce mieliśmy adwentowe ligawki, które służyły do budzenia mieszkańców wybierających się

na rołaty. Również na festiwalu w Kazimierzu nad Wisłą mogłem podziwiać występy muzyków, którzy wykonywali swoje utwory na trąbitach i ligawkach. Też tak chciałem grać. Wcześniej grałem na trąbce na weselach i na zabawach. Dzisiaj jestem zapraszany do odegrania hejnału na ligawce podczas rozpoczęcia różnych jarmarków czy festynów takich jak np. dożynki.

Są w Grodzisku osoby dla Pana szczególnie?

Większość życia spędziłem na ziemi grodzkiej. Przez ten czas poznałem wielu wspólnych sąsiadów i mieszkańców Grodziska. Wielu z nich już nie żyje. Doznawałem i nadal doznaje od żyjących wiele życzliwości i pomocy. Jestem również wdzięczny grodzkiemu samorządowi za przyznanie mi tytułu Honorowego Obywatela Grodziska Mazowieckiego. Myślę, że ten tytuł jest szczególnym znakiem obecności takich osób w moim życiu, które są dla mnie bliskie. Oczywiście najbliższa jest mi moja rodzina.

GRODZISK BARDZO SIĘ ROZWINĄŁ I STAŁ SIĘ PIĘKNYM I NOWOCZESNYM MIASTEM. CIESZĘ SIĘ, ŻE DANE JEST MI W JEGO OKOLICY MIESZKAĆ.

Pamięta Pan wystawy w Grodzisku?

Rok po przyjeździe zapisałem się do Ogniska Plastycznego. Dużo tu się nauczyłem. Ryśunku i malowania olejem na płótnie. Jedną z pierwszych wystaw zorganizowała w Radogoszcu Spółdzielnia Mieszkaniowa. Wystawiłem wszystkie moje prace, a mianowicie rzeźby i płaskorzeźby oraz obrazy. Przeważnie wystawiałem na dożynkach, a także w różnych szkołach. Później w Centrum Kultury, również w Poczkalni PKP, a ostatnio także w Dworku Adama Chełmońskiego.

Gdzie Pan tworzy swoje rzeźby?

Przy domu mam pracownię. Tu przyjeżdżało swego czasu dużo wycieczek szkolnych



ANDRZEJ GRABOWSKI

ur. 1952



aktor, artysta kabaretowy, reżyser i scenarzysta,
absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie

Z Krakowa jest prawie 300 kilometrów. Jak to się stało, że trafił Pan do Grodziska?

Naszym życiem przede wszystkim rządzą przypadki, więc i ja przypadkiem tutaj wylądowałem. Owszem, wiedziałem, że istnieje taka miejscowość jak Grodzisk Mazowiecki, ale nic więcej. Wystąpiłem tutaj kiedyś na Dniach Miasta z moim programem stand-upowym. Poznałem wtedy burmistrza i zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Wówczas mieszkalem w Warszawie, na ulicy Łuckiej, na dwudziestym siódmym piętrze. Na dole budynku był mały sklepik. Prowadził go pan Piotr, u którego robiłem czasem zakupy. I takie to rozmowy przy ladzie: „A może bym coś kupić na wsi?”. A on na to: „Mam domek pod Grodziskiem. Piękna miejscowość. Pan przyjedzie i pan zobaczy”. I umówiłem się. Umówiłem się na niedzielę, nie przyjechałem. Umówiłem się na kolejną, też nie przyjechałem. Więc jak się umówiłem na trzecią niedzielę, to już przyjechałem, no bo głupio tak. Wypiliśmy kawę i pojechaliśmy oglądać. Ujechaliśmy sto metrów, pan Piotr mówi, że tu jest taka parcela, ale nie wiadomo, czy jeszcze do sprzedania, a w ogóle ma kilku właścicieli. A mi się bardzo spodobała. Bo to chyba jedna z niewielu parcel na Mazowszu, która schodzi w dół i nie jest płaska jak wszystko tutaj. Graniczy z rzeczką o nazwie Pisia Tuczna. Potem byliśmy jeszcze w kilku miejscach, ale mnie się spodobało właśnie tam, w Wężyku. Okazało się, że właściciel już był umówiony na sprzedaż, ale nabywca nie dawał znaku życia. Więc kupiłem ją ja. A że działka miała trzech właścicieli, sprzedawca uparł się, że muszę jeszcze kupić cztery hektary, bo bez tego nie dojdzie do transakcji. I dzięki Bogu, że się uparł.

Kupując ziemię miał Pan gotowy plan, wco dalej?

Nie miałem pojęcia, co ja chcę z tym zrobić! Sprzedaż trochę trwała, bo z każdym z trzech właścicieli musiałem zawrzeć umowę. Ale znów pomógł przypadek.

I znowu ten sam sklepik pana Piotra. Jego pomocnik mówi któregoś razu, że zna najlepszego specjalistę od budowy drewnianej z Hajnówki. Facet przyjechał w ciągu paru dni, zrobiliśmy plan i zaczęliśmy budować.

Udało się wkomponować dom w krajobraz?

NASZYM ŻYCIEM PRZED WSZYSTKIM RZĄDĄ PRZYPADKI, WIĘC I JA PRZYPADKIEM TUTAJ WYLĄDOWAŁEM

Usadwienie tego domu jest takie, że za mną jest Pisia Tuczna i las. Przedemną jest droga, od której jestem odgródzony drewnianym parkanem. Mój teren to jak wielka polana w lesie olchowym.

Często bywa Pan w Grodzisku?

Przyznam się, że z rzadka – zazwyczaj aby załatwić jakąś sprawę urzędową, zrobić zakupy albo spotkać się towarzysko z burmistrzem, bo to świetny facet. Zaprzyjaźniliśmy się. Mam nadzieję, że on by to potwierdził. Burmistrz to też jest ludność napływowa. Już tyle lat jest burmistrzem, a ludzie go chcą i wygrywa w pierwszej turze wyborów. To też o czymś świadczy. Zresztą on bez reszty pochłonięty jest tym Grodziskiem i bardzo go za to cenię. A do tego to taki ludzki człowiek, swój chłop. Myślę, że nie tylko dla mnie, ale i dla innych grodziszczan.

Jak w Pana oczach prezentuje się miasto?

Od czasu, gdy tu zamieszkałem, wypiękniało, o ile można mówić o pięknie Grodziska. Bo nie czarujmy się, że to jest piękne miasto. Kłamałbym, gdybym mówił, że jest. Jak powiem, że jest przeciętne, to i tak będzie komplement. Jak się widzi te miasteczka w Pozańskim, nawet w Małopolsce z tymi rynekami, z tymi zabytkowymi kamienicami, to jest to zupełnie inna estetyka. Grodzisk ma fantastyczne nowe albo na nowo zaaranżowane obiekty – Stawy Goliana, Sta-

wy Walczewskiego, Park Skarbków, Centrum Kultury, Mediateka, Dworek Adama Chetmońskiego w Adamowiznie. To wszystko powstało już za moich czasów, w ciągu krótkiego czasu. Do tego targowisko i pływalnia. Burmistrz jest mocno związany z kulturą, bo przecież sam występował na scenie, więc bardzo dba, aby grodziszczanie mieli zapewniony dostęp do kultury. I rzeczywiście mają, bo nie w każdym miasteczku jest kino czy scena.

Swoim gościom pokazuje Pan Grodzisk?

Mam duży dom, jestem gotujący, więc zostajemy w Wężyku.

Był Pan kiedyś twarzą akcji zachęcającej do płacenia podatków w Grodzisku. Jak doszło do tej współpracy?

O pomoc poprosił mnie burmistrz, więc się zgodziłem. Oczywiście charytatywnie, bo ktoś może pomyśli, że się dorobiłem na gminie. No nie.

**LUBIĘ TĘ CISZĘ, SPOKÓJ I OAZĘ,
KTÓRA JEST W WĘŻYKU.
TAM NIE PRZEJEŹDZAJĄ
ŻADNE TIRY, POJAWIAJĄ SIĘ
TYLKO MIESZKAŃCY**

A gdzie Pan lubi się wybrać lub zrobić zakupy?

Lubię wybrać się na spacer z moją partnerką, bo tu jest płasko i nie trzeba iść pod górę. Moje córki lubią jechać do pana Stasia na rybkę, bo rzeczywiście tam ta ryba jest wspaniała. Nawet mnie smakuje, a nie jestem amatorem. Po zakupy jeżdżę do takiego małego sklepu w Bieniewcu, jakieś pięćset metrów ode mnie, i ze cztery kilometry do Józefiny. Wężyk pasuje do powiedzenia o miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc. Tutejsi mieszkańcy wspominają, że jak trzeba było dostać się do Grodziska, to się brało furkę i się podjeżdżało, a do kościoła szło się cztery kilometry do Kukłówki, która w porównaniu z moją wsią jest metropolią.

Mieszkanie w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc ma swoje minusy?

Nie ma kanalizacji i gazu, więc dom trzeba ogrzać prądem. To są mankamenty, które nie cieszą. Ale wszystko się zmienia. Kiedy kupowałem tę ziemię, to nawet drogi asfaltowej nie było. Teraz jest. Wąska, bo wąska, ale jest.

Pojawiły się jakieś sąsiedzkie relacje?

Gdyby nie moi sąsiedzi, Piotruś i Małgosia, to ja tu nie mógłbym prawdopodobnie mieszkać w Wężyku. Często wyjeżdżam, a Piotruś codziennie opiekuje się moim domem. To jest duży teren – do spółki mamy kury, które on karmi, a jajkami się dzielimy. Poza tym Piotruś jest złotą rączką. Potrafi wszystko zrobić i naprawić, a wiadomo w domu zawsze jest co robić. Małgosia pomaga w prowadzeniu domu. Bez nich bym sobie tutaj nie poradził. Po prostu musiałbym kupić mieszkanie w bloku w Warszawie lub w Krakowie.

Z rozjazdów wraca Pan do Wężyka. Lubi Pan te powroty?

Tak. Podoba mi się to, co wybudowałem. To mój dom, który bardzo chronię przed widokiem publicznym i nigdy nikogo nie wpuszczam z aparatem. Lubię tę ciszę, spokój

i oazę, która jest w Wężyku. Tam nie przejeżdżają żadne tiry, pojawiają się tylko mieszkańcy. Tam nikt nie jest nawet przejazdem, bo to nie po drodze.

Wężyk to Pana miejsce na ziemi?

Życie dzielę na Kraków i Wężyk. Z Krakowa wyszedłem, dopiero jak miałem pięćdziesiąt kilka lat. Kraków wygrywa urodą, pięknem, kawiarniami i restauracjami, Plantami i bujnym życiem. Wężyk spokojem, ciszą i przyrodą. I to uzupełnia się doskonale. Po tygodniu pobytu w Wężyku tęsknię za miastem. W końcu jestem facetem, który spędził całe życie z ludźmi. Jadę z przyjemnością do Krakowa, bo tam mam małe mieszkanie i mogę zatrzymać się w nim na ile chcę. Dzieci i wnuczki przyjeżdżają do Wężyka. I one będą mnie kojarzyć z Wężykiem.



GRZEGORZ BENEDYKCIŃSKI

ur. 1955



samorządowiec, ukończył Akademię Techniczno-Rolniczą w Bydgoszczy, Podyplomowe Studium Pedagogiczne w Bydgoszczy, Podyplomowe Studium Zarządzania Strategicznego Gmina na SGH w Warszawie, burmistrz Grodziska Mazowieckiego od 1994 roku

Z Kujaw na Mazowsze – przyjechał Pan pod Warszawę wraz z rodziną.

Ojciec cały czas mnie namawiał, żeby przenieść się bliżej Warszawy, jeżeli tylko nadarzy się taka okazja. Miał wielki sentyment do tych stron. Miałem rodzinę w Otrębusach. I tak trafiłem w 1988 roku do pracy w rolnictwie w Książenicach i tu zamieszkałem. To była bardzo mała wieś i zupełnie inna miejscowość. Była tu także jednostka wojskowa – dywizjon rakietowy obrony powietrznej. Wtedy z Grodziskiem miałem mniejszy kontakt. Tyle co wozilem swoje dzieci do szkoły. Z tego czasu dobrze pamiętam, jak we wsi były tylko dwa telefony – jeden u mnie w pracy, drugi w innej firmie. I tak działały, że jak ja dzwoniłem, to tamci już nie mogli rozmawiać. To był inny świat.

27 maja 1990 roku były pierwsze wybory samorządowe. Został Pan wybrany do pierwszej po przemianach ustrojowych Rady Miejskiej.

Po półtora roku mojej obecności tutaj wystartowałem w wyborach. Do kandydowania namówili mnie moi pracownicy. Miałem bardzo dobry wynik, a frekwencja nie była wtedy zbyt wysoka. W ten sposób znalazłem się wśród 28 radnych. Co ciekawe, byłem jednym z sześciu radnych spoza Komitetu Obywatelskiego, który wówczas zdecydowanie zwyciężył w wyborach.

Jako jeden z nielicznych wygrałem z kandydatem KO w swoim okręgu. Przewodniczącym Rady Miejskiej został Jerzy Jachimski, bardzo fajny człowiek, i zaproponował mi funkcję wiceprzewodniczącego. To wszystko zmieniło bardzo moje życie.

Cztery lata później został Pan burmistrzem.

W 1994 roku burmistrza wybierała Rada Miejska. Zaproponowałem Euzebiuszowi Sowie, pierwszemu burmistrzowi, że zostanie jego zastępcą, ale ponieważ nie był zain-

teresowany takim rozwiązaniem, podjąłem decyzję, że będę się ubiegał o stanowisko burmistrza. Zgłosiło się czterech kandydatów, oprócz mnie dotychczasowy burmistrz Sowa, Piotr Galiński oraz Ewa Stępień. W kolejnych turach głosy się tak rozkładały, że nikt nie zdobył większości. Zdecydowało czwarte głosowanie, w którym otrzymałem 15 głosów. To było 8 lipca 1994 roku. Czasem mówię, że burmistrzem zostałem dzięki temu, że miejscowi się pokłócili. I jestem nim do dziś.

Kogo pamięta Pan z tych lat, kiedy wrastał Pan w Książenice i Grodzisk?

Pierwsze osoby, które tu poznałem i wiele im zawdzięczam, to Andrzej Pleban obecny prezes Zakładu Gospodarki Komunalnej, i pani sőtys Zabłotni Danusia Dubielecka, bo to z nią i dzięki niej zaczęła się moja obecność w tym miejscu. Wspominam Wiesława Kamińskiego, który wiele mi pomagał, był działaczem politycznym, a potem radnym. Dobrze pamiętam strażaków z Książenic. Z pierwszej Rady Miejskiej dobrze wspominam Jerzego Jachimskiego, wielkiego miłośnika Grodziska, nauczył

**CZASEM MÓWIĘ, ŻE
BURMISTRZEM ZOSTAŁEM
DZIĘKI TEMU, ŻE MIEJSCOWI SIĘ
POKŁÓCILI. I JESTEM NIM DO DZIŚ**

mnie miłości do tego miasta. Dobrze pamiętam pierwszych działaczy Solidarności. Ceniłem pierwszego burmistrza Euzebiusza Sowę, bardzo pracowitego człowieka. I doskonale pamiętam z pierwszej kadencji Rady Miejskiej, jak pani Barbara Macherowa i pani Elżbieta Potyńska marzyły, by powstało w Grodzisku centrum kultury. I doczekały się. Marek Cabanowski, przewodniczący Rady Miejskiej, który na początku nie był mi przychylny, ale chyba na koncercie Santany, gdzie się spotkaliśmy, okazało się, że mamy wspólną pasję – muzykę, a zwłaszcza jazz.

I od tego czasu nasze kontakty zdecydowanie się zmieniły. Ksiądz Eugeniusz Dziedzic. Przyjechał do mnie, kiedy był proboszczem parafii Miłosierdzia Bożego, a ja jeszcze nie byłem burmistrzem, i poprosił mnie o pomoc. To tam, w parafii przy ul. Orzeszkowej, gdzie wówczas budował się kościół, były moje pierwsze spotkania z grodziskim establishmentem. Ksiądz proboszcz z kościoła św. Anny Lucjan Rutkowski. Była też niesamowita postać księdza Józefa z Kostowca. Był moim wielkim fanem, a potem pracował w parafii przy Piaskowej. Nigdy nie zapomnę, jak zatrzymał samochód na środku ulicy Nadarzyńskiej i chciał ze mną pogadać, a tym, którzy się denerwowali za blokowaniem drogi, tłumaczył: „No chyba widzisz, że z burmistrzem rozmawiam!”.

A ważne postaci z okresu kiedy jest Pan burmistrzem? Ludzie, których opinie są dla Pana cenne?

Stanisław Otkowski, wieloletni szef wydziału inwestycji. Osoba niezwykle pracowita i z dużym doświadczeniem. Wiesia Śliwińska, wieloletnia radna, która zawsze zabiegała o biednych ludzi. Mirek Gajowniczek, to on

PAMIĘTAM, ŻE WTEDY JAKO SZEF FIRMY ZARABIAŁEM 24 DOLARY MIESIĘCZNIE, A HAMBURGER KOSZTOWAŁ 3 DOLARY

był pomysłodawcą świetlic wiejskich. Marek Wieźbicki, starosta grodziski, z którym współpracuję od wielu lat i zawsze możemy liczyć na wzajemną pomoc, zrozumienie. Krzysztof Szelerski, świetny człowiek. Przewodnicząca Rady Miejskiej Joanna Wróblewska. I oczywiście Piotr Galiński, mój wieczny zastępca. Na pewno także lekarze: Marek Stopiński i Jacek Pawlak, z których opiniami bardzo się liczę. I jeszcze wiele osób, które są mi bliskie, ale nie sposób wszystkich wymienić. Dzięki tym, którzy są ze mną w samorządzie i Urzędzie Miejskim mogę realizować pomysły i bardzo potrzebne inwestycje dla mieszkańców.

Jest jakieś wyjątkowe wydarzenie z tych księżenicko-grodziskich początków, które przywołuje Pan ze szczególnym sentymentem?

Często mówię, że mam w życiu szczęście. I taki fart sprawił, że jak jeszcze pracowałem w Książenicach, przyjechała jakaś kobieta „maluszkim” i poprosiła o pomoc – bo oni mają działki we Władystawowie, a trudno dojechać, więc potrzebny jest traktor. Wykazałem się życzliwością i wystąpiłem traktorzystą. W poniedziałek owa pani w podziękowaniu zaprosiła mnie na kawę i okazało się, że to główna księgowa w Ministerstwie Współpracy z Zagranicą. Zapoznała mnie z ministrem. Polska dostała wtedy 10 mln dolarów na pilotażowy zakup maszyn rolniczych. I za trzy miesiące jechałem jako ekspert do Francji, Belgii i Holandii, aby wybierać specjalistyczny sprzęt. To wówczas, a więc jeszcze zanim zostałem burmistrzem, rozpoczęła się moja znajomość z Josephem Bonmariagem, który stał się wielkim przyjacielem Grodziska. Kiedy zostałem radnym, zabrałem burmistrza Sowę i pojechaliśmy polonezem do Belgii. I tak, przez mój wyjazd biznesowy, rozpoczęła się wieloletnia współpraca z Aywaille. Pamiętam, że wtedy jako szef firmy zarabiałem 24 dolary miesięcznie, a hamburger kosztował 3 dolary i chodziłem kilka minut, zastanawiając się: zjeść czy nie? Taki wyjazd to dla człowieka z Polski był wtedy szok, zwłaszcza w marketach.

Jakie wydarzenia uważa Pan za najważniejsze, od kiedy w 1994 roku został Pan burmistrzem Grodziska?

Od samego początku w kolejnych kadencjach zawsze był jakiś trudny problem do rozwiązania. Pierwszym była sprawa Szpitala Zachodniego. Wtedy budowa była wstrzymana, istniał tylko taki kikut budynku. Nie wiadomo było, co z tym zrobić. Miałem świadomość, że ten szpital zmieni miasto, bo to 700-800 miejsc pracy, personel medyczny, lekarze, elita medycyny. Wiedziałem, że sama obecność takiego szpitala wygeneruje coś ważnego

i podniesie atrakcyjność Grodziska. Doprowadzenie do wznowienia budowy to była bardzo skomplikowana sprawa. Ale jak już mówiłem, mam w życiu szczęście i kilka czynników sprawiło, że to w ogóle było możliwe. Kilka osób mocno zaangażowało się w to przedsięwzięcie, szczególnie Lech Szymańczyk, który wówczas był postem. Kluczową rolę odegrała moja przynależność do PSL-u. Wówczas marszałkiem sejmiku był Józefem Zych, a ja mając świadomość, że w okręgu podwarszawskim jestem jedynym burmistrzem z PSL-u, zażądałem spotkania z marszałkiem. Pojechałem z panem Adamem Galewskim do marszałka w sprawie szpitala. Potem było spotkanie u wojewody i to przeważało o przekazaniu funduszy do budżetu na wznowienie budowy. To był przełomowy moment w historii Grodziska.

Druga sprawą, z którą musiałem się zmierzyć na początku swojego burmistrzowania, było bezrobocie. Kiedy spotykałem się z Josephem Bonmariagem, który był burmistrzem Aywille przez pięćdziesiąt lat, często mi powtarzał: „Pamiętaj, musisz załatwić pracę dla ludzi, bo jeśli ludzie nie będą mieć pracy, to nic się nie uda”. Wtedy postawiłem na jedną kartę, aby utworzyć strefę przemysłową w rejonach ul. Chrzanowskiej, ul. Zachodniej, a wieloletni geodeta gminy, podpowiedział mi strefę w Chrzanowie, Tłustem. Tu znalazły miejsce pierwsze duże firmy na terenie gminy i to był drugi przełomowy moment.

Ważnym momentem dla miasta i okolicy było powstanie deptaka w centrum miasta, który zmienił charakter miejsca, i trzeba to podkreślić, że zaczął to poprzedni burmistrz Grodziska. Wydarzeniem, które było znaczące, było wybudowanie basenu Wodnik 2000 czy uruchomienie Centrum Kultury przy Spółdzielczej i Mediateki tuż przy zrewitalizowanym parku. To były miejsca, które podniosły prestiż miasta. Tematem, którym zajmowałem się przez wiele, wiele lat była obwodnica. Udało się szeroko zrealizować sieć kanaliza-

cyjną, dzięki czemu wiele działek poza miastem jest w pełni uzbrojona. Uważam, że to jest fenomen, bo niektóre miasta nie mają takiej sytuacji.

Istotne jest to, że kiedyś podjęliśmy decyzję, aby podzielić miasto na strefy mieszkaniową

ALE JAK JUŻ MÓWIŁEM, MAM W ŻYCIU SZCZĘŚCIE I KILKA CZYNNIKÓW SPRAWIŁO, ŻE TO W OGÓLE BYŁO MOŻLIWE.

i przemysłową i nie mieszałyśmy tego. Pilnujemy ładu architektonicznego i staramy się, aby ta zabudowa była dosyć ekstensywna.

Dlaczego, Pana zdaniem, zainteresowani zamieszkaniem pod Warszawą wybierają Grodzisk?

Bo tutaj znajdują to, co jest potrzebne do życia. Po pierwsze, jest trochę taniej niż w Warszawie i bezpośredniej okolicy. Różnorodność i bogata oferta klubów sportowych, świetlice, jakich nie mają okoliczne gminy, bogata oferta kulturalna, tereny rekreacyjne, to wszystko powoduje, że tu się fajnie żyje. Jest znakomita komunikacja z Warszawą, a jak po sąsiedzku powstanie lotnisko, to jestem przekonany, że Grodzisk będzie jednym z najbogatszych miejsc w Europie.

500 lat miasta to imponujący jubileusz. Ma Pan poczucie, że mocno się wpisał w tę pięćsetletnią historię?

Na pewno każdemu następnemu burmistrzowi będzie trudno pokonać mój wynik, ponieważ można być teraz tylko dziesięć lat na tym stanowisku. Nie będę też fałszywie skromny, bo miałem wielkie szczęście po czasach smuty komunistycznej trafić do dość zaniedbanego miasta, więc stosunkowo łatwo było zmieniać rzeczywistość na lepsze, robić rzeczy widoczne dla mieszkańców. Ale gdybym nie inwestował i nie zmienił tego miasta, to nie byłbym tak długo burmistrzem. Ważne jest też, że jestem komunikatywny i umiem rozmawiać z ludźmi,

dzięki czemu znam potrzeby mieszkańców. Zawsze pracownikom w urzędzie mówiłem: musimy zmieniać, budować, poprawiać. Powtarzam im także, że jeśli chcesz być szanowany, szanuj innych. Ważne było także pozytywne nastawienie mieszkańców. To są najlepsze lata mojego życia. Pochodzę z rodziny samorządowej, więc to jest praca marzenia. Lepszego miejsca nie mogłem sobie wymarzyć. Mam dużą satysfakcję, kiedy idę na spacer i widzę, że jest gdzie pójść, jest gdzie wypocząć. Jest czysto i przyjemnie i jest duża oferta. Bardzo lubię deptak. Uważam, że to fajne miejsce, tylko wymaga ożywienia. A to będzie możliwe, gdy powstanie tam ciekawa oferta lokalnego biznesu.

Które miejsca są z Pana perspektywy najbardziej nasiąknięte historią Grodziska?

Na pewno Plac Wolności, bo to arena wydarzeń dramatycznych, tragicznych, ale także centralne miejsce, gdzie toczyło się życie. Ważnym punktem jest dworzec kolejowy, bo budowa kolei otworzyła nowy rozdział w historii miasta. Są inne historyczne miejsca – sanatorium Bojasińskich, Adamowizna z rodziną Chetmońskich. Trzeba mówić o Leonidzie Telidze, bo to wyjątkowa postać

POCHODZĘ Z RODZINY SAMORZĄDOWEJ, WIĘC TO JEST PRACA MARZENIE

i powód do dumy. I zawsze należy pamiętać o grodziskich Żydach, o środowisku, które dostarczyło światu wybitnego szachistę Mieczysława Najdorfa czy Elimelecha Szapiro.

Kilkanaście miesięcy temu pojawił się pomysł stworzenia zbiornika wodnego w Chlebni. Czyżby Stawy Walczewskiego były niewystarczające?

To pomysł, który krążył od dawna, gdyż na tym terenie niegdyś były stawy. Potem zaczęto się dużo mówić o środkach finanso-

wych na retencję. O budowie takiego zbiornika często mówił radny Janusz Okurowski, jak również sőtys Chlebni Sławomir Pietraszek. Jeśli szukamy kolejnej atrakcji dla tego miejsca, to może ona być właśnie tutaj, relatywnie niedroga i zabezpieczająca w przyszłości w wodę. Myślę, że to bardzo ciekawy pomysł.

Zbiornik w Chlebni to zapewne nieco bardziej odległa przyszłość, ale już w roku pięćsetlecia zostanie oddana do użytku obwodnica i hala widowiskowa. Co jest w planach na kolejne lata?

Na pewno musi powstać nowa siedziba szkoły muzycznej, liceum dla zdolnej młodzieży, dokończenie szkoły w Szczęsnem, rozbudowa Szkoły Podstawowej nr 6, dom seniora, kolejne rozwiązania komunikacyjne i mnóstwo ścieżek rowerowych.

A co dla Pana jest przyjemne w Grodzisku?

Relacje międzyludzkie. Lubię, kiedy na ulicy zaczepiają mnie ludzie, żeby powiedzieć jakieś życzliwe słowo. Mój sukces nie byłby możliwy bez cierpliwości i wyrozumiałości żony Gabrysi, która przejęła na siebie większość domowych obowiązków, i dwojga moich dzieci Bartośza i Emilii. Wielką radością są dla mnie Stawy Walczewskiego. To taka pereteczka. Cieszę się z ratusza i potężnego parku dla pieszych z Kilińskiego do Kościuszki. Park Skarbków i Mediateka to kolejne wyjątkowe dla mnie miejsca, niesamowity urok ma Dworek Adama Chetmońskiego w Adamowiznie. Uwielbiam chodzić, spacerować i jeździć rowerem po mieście, lubię las w Książenicach, bardzo lubię Izdebną Kościelną, które ma charakterystyczny rys polskiej wsi z tradycjami. Wieś naprawdę wiejska, a wielu tu w okolicy już takich nie ma. W ogóle kocham to miejsce, bo ono daje możliwość fajnego, spokojnego, bezpiecznego życia.



DARIUSZ WNUK

ur. 1977



aktor, absolwent Akademii Teatralnej w Warszawie

Z pojawieniem się Grodziska w Pana życiu wiąże się jakaś historia?

Chyba najprostsza z możliwych. Moi rodzice przeprowadzili się tutaj za chlebem, a ja za nimi, w becikach. Mama dostała pracę w Szkole Podstawowej nr 4, a tata, z wykształcenia technik elektryk, także znalazł zatrudnienie na miejscu. Tym sposobem jako trzymiesięczny niemowlak zostałem grodziszczaninem.

Skoro mama pracowała w Czwórcie, domyślał się, że i Pan jako uczeń trafił właśnie do tej szkoły.

Mieszkam przy deptaku w samym centrum miasta, vis à vis Szkoły Podstawowej nr 5, więc rozpoczęcie nauki w Piątce byłoby logiczne. Za to logistycznie wygodniej było rodzicom zabierać mnie do Czwórki. Dla mnie było to kłopotliwe ze względu na mamę nauczyciela. To tworzyło kłosz, z którego próbowałem się wydostać. Mimo szczerych chęci nauczycieli byłem traktowany przez nich nieco inaczej, jako dziecko nauczycielskie. Dlatego trzymałem się stref zakazanych dla uczniów.

Jakiego przedmiotu uczyła mama?

Na początku była nauczycielem fizyki i chemii. Potem poszerzyła wykształcenie i zajęła się nauczaniem początkowym, czyli klasami 1-3. Szczęśliwie dla mnie, bo moglibyśmy spotkać się w klasie, a tak udało się tego uniknąć i linijką dostawałem tylko na korytarzu.

Zaczynał Pan edukację w starym budynku przy ul. Poniatowskiego, gdzie dziś mieści się oddział Archiwum Państwowego. Obiekt z historią.

Jak chodzę z narzeczoną na dłuższy spacer w tamtę stronę, to opowiadam jej swoje historie związane z tym miejscem. Tam, gdzie to osiedle, była bieżnia, boisko, szatnia. Te okna to klasy młodsze, a wyżej biologia i chemia, a wyżej jeszcze inne przedmio-

ty. Jeszcze wyżej była taka mała sala. Pamiętam wysokie i bardzo długie korytarze w gumoleum, bufet, wyślizgane schody, z których zjeżdżało się na tyłku z samej góry.

Z nową szkołą przy ul. Zielony Rynek też wiąże się historie?

W ramach czynu społecznego jako drugo-trzecioklasiści przenosiliśmy jakieś rzeczy ze starej do nowej szkoły. Pamiętam, że brnęło się nieutwardzoną drogą przez błoto.

Jak Pan, jako dziecko nauczycielskie, zapamiętał grono pedagogiczne?

Wszyscy byli wtedy wspaniali! Przynajmniej takie mam wrażenie. Pewną rolę w budowaniu we mnie nauczycielskiego etosu odegrała moja starsza siostra, która była prymusem

MIMO SZCZERYCH CHĘCI NAUCZYCIELI BYŁEM TRAKTOWANY PRZEZ NICH NIECO INACZEJ, JAKO DZIECKO NAUCZYCIELSKIE.

i doceniała wszystkich. Ja miałem okazję zwerfikować jej zachwyty z innej strony, bo moja głowa nie była skora do nauki. Wspaniała była Maria „Mania” Michalak od chemii. Niesamowity człowiek. Moje skojarzenia z nauczycielami na pewno nie są wolne od perspektywy domowej – bo oni bywali u nas. Ta kawusia z pokoiów nauczycielskich przenosiła się do salonu w domu. Panie, które nas uczyły, były jednocześnie koleżankami mamy i trzeba było się w tym odnaleźć i nawiązać z nimi jakąś relację. Mania Michalak bywała często u nas i my u niej. Często mnie prosiła o zakup kremu, bo miała pozytywnego hopla na punkcie pielęgnacji skóry twarzy. I wyglądała wspaniale, również gdy już była starszą panią. Mam też przemite wspomnienie z panią od matematyki, czyli z Zosią Drelą. Do dzisiaj uważam ją za kosmiczny umysł ścisty. Można ją było posądzić o pewien rodzaj dziactwa, ponieważ ona wchodziła do klasy bardzo często nie zdejmując

jąc torebki z ramienia, nie otwierając dziennika i przez całą lekcję krążyła z tym wszystkim, z tym dobytkiem nauczycielsko-prywatnym i wszystkie zadania rozwiązywała w pamięci. Była niesamowita, inna niż wszystkie, odlotowa! I jest do tej pory. Kiedyś pytałem ją, jak to było z tą jej matematyką. Mówiła, że nawet na studiach rozwiązywała zadania z błyskawiczną prędkością, bez kartek i długopisu. To wła-

NA WIDOCZNYM Z OKNA SKRZYŻOWANIU UL. BUCZKA I NIEPODLEGŁOŚCI STAŁO WOJSKO, KOKSOWNIKI I JAKIŚ SAMOCHÓD OPANCERZONY. TO DZIAŁAŁO NA WYOBRAŹNIĘ.

śnie dzięki niej próbowałem pisać olimpiadę z matmy. I skłoniła mnie, żeby pokochać matematykę. Przez wielu uważana była za osobę surową. Ja tego nigdy nie czułem.

Od olimpiady z matematyki do sceny droga daleka. Kiedy zakiełkował pomysł na aktorstwo?

Do Czwórki przyszedł nauczyciel historii i wiedzy o społeczeństwie Andrzej Żarkiewicz, który przyniósł powiew świeżości w mówieniu o historii. Zabierał nas do Słonia przy Fabryce Tarcz Ściernych. Zresztą był później dyrektorem miejskiego ośrodka kultury. Dzięki niemu stałem się bywalcem kina Wolność. Udało mi się zobaczyć tam jeden z moich ulubionych filmów „Pół żartem, pół serio”. To jest klasyka, którą jak się okazało wiele osób docenia. Andrzej Żarkiewicz zaopiekował się moją wrażliwością. Bywałem na stworzonych przez niego seansach kina konesera. Tam zobaczyłem „Dzieciątka z Mâcon”. To był dla mnie filmowy punkt zwrotny i moja wyobraźnia zaczęła strasznie pulsować. Mogę powiedzieć, że to stało się przez Andrzeja. Myślę, że w tych przelotnych mikrospektaniach miał wyczuć i potrafił komuś, kto jest zainteresowany, otwierać drzwi. I to jest bardzo cenne. W życiu każdego z nas ważne jest kogo spotykamy.

Jakie obrazy z grodziskiego dzieciństwa przywołuje pamięć?

Stan wojenny. Utrwalony przez moją głowę, a może podyktowany troszkę rozszalałą wyobraźnią dziecka. Miałem wtedy cztery lata. Mama zabraniała mi podchodzić do okna. Dzisiejsza ul. 11 listopada wówczas nazywała się Niepodległości i nie była deptakiem. Zapamiętałem ją jako dość mroczną.

Środkiem biegły tory kolejki, już wówczas od lat nieużywane. Kiedy przejeżdżał tamtędy samochód ciężarowy czy dostawczy, miałem wrażenie, że wszystko się trzęsie, a jeśli przejechało jednocześnie kilka takich aut, od razu pojawiała się myśl: czotgi! Ale to wszystko wynikało z całej wojen-

nej atmosfery. Na widocznym z okna skrzyżowaniu ul. Buczka i Niepodległości stało wojsko, koksownicy i jakiś samochód opancerzony. To działało na wyobraźnię.

Ważne miejsca?

Nie wiem, czy to komuś cokolwiek powie, bo dzieci zapamiętują rzeczy, które dla dorosłych są w ogóle nieobecne. Jeśli kluczem mają być miejsca, to te najdziwniejsze, które były celem wypadów z kumplami. Na pewno park Lipnera, gdzie zaczynały się już przygotowania do budowy szpitala. Pamiętam wątpliwości ludzi, czy on w ogóle powstanie. My chodziliśmy ścieżką nad rzekę. Budowaliśmy tamy i kąpaliśmy się Mrowniej, która w tym miejscu jeszcze była czysta. Wszystkie nieczystości wpadały do niej dalej, za ulicą Żyrardowską. Za garbarnią to była zupełnie inna rzeka, a właściwie ściek. Na pewno Stawy Walczewskiego. Ale to inna przestrzeń niż trochę sielankowy park Lipnera. Pamiętam rozklekotany mostek, bagniska. Wybierałem się tam już jako starszy chłopak, obowiązkowo z... nożem, żeby czuć się bezpiecznie. Tam było mrocznie!

To były samotne wycieczki?

Przeważnie z kumplami z podwórka. To była cała wyprawa, bo przechodziło się

przez różne podwórka, zakazane miejsca, dachy. Trzeba było uważać, zwłaszcza na Bałtyckiej. Ta ulica cieszyła się bardzo złą sławą, jako miejsce niebezpieczne i pełne najgorszego elementu. Do dzisiaj zadają sobie pytanie, skąd się taka fama wzięła. Miałem stamtąd kumpli i nie wydawali mi się jakoś niebezpieczni. Pamiętam, że baliśmy się też dzikich psów, których było dużo na tych dziecięcych szlakach. Ale z niektórymi nawet się zaprzyjaźniliśmy i rozpoznawaliśmy je, kiedy eksplorowaliśmy teren. To był zupełnie inny świat dzieciństwa niż teraz, gdy wszystko jest monitorowane, kontrolowane.

Sam Grodzisk był zupełnie inny...

Bez wątplenia. Było więcej „dzikich” miejsc. Tak jak dzika była przestrzeń, gdzie teraz jest bazarek. Tam był dla dzieciaków tzw. małpi gaj, stary sad z pysznymi kosztelami. Można tam było położyć po drzewach, spotkać kolegów z innych rejonów miasta, były wyścigi, kto pierwszy wejdzie na wierzchołek drzewa bez gałęzi. Klimat trochę jak w książce „Mikołajek”.

A Szwedzkie Góry?

Do czasu mojej piątej klasy – wówczas rozpoczęły się tam badania archeologiczne – Górk Szwedzkie były po prostu miejscem, gdzie chodziło się na sanki z rodzicami. Była to dla mnie bardzo długa wyprawa z centrum na te „szwedki”. Dlatego w konkurencji saneczkowej wygrywał wiadukt, bo tam było bliżej, a pojechać też było można. Dopiero później te Góry Szwedzkie nabrały bardziej historycznego wyrazu.

Którędy wracał Pan ze szkoły do domu?

Zależy z którym kumplem! Ale przeważnie jakoś dookoła. Jeśli któryś mieszkał na Chlebni, to były łąki, bagniska i Mrowna, w którą się niejednokrotnie wpadało. Chodziło się i przez Wólkę Grodziską. Na pewno nie były to najkrótsze drogi do domu.

Tamten Grodzisk miał swoje zakłete rewiry?

Ulica Harcerska. Podobnie jak Battycka słynna na całe miasto. Na mojej drodze nigdy nic niebezpiecznego się tam nie wydarzyło, ale wiem, że kobiety przejść się bały.

Barwne postaci?

Z dzieciństwa pamiętam Czarną Mańkę. To była starsza pani. Wszyscy w Grodzisku tak ją nazywali i straszli ją dzieci. Nie wiem, kim była. Chodziła w chustce, mieszkała tuż przy placu Wolności. Tam miała taką witrinę, gdzie znikąca i nikt nie wchodził za nią dalej. Jak ludzie wychodząc z kościoła widzieli, że Mańka siedzi na swoich schodkach, to dzieciaki szybko uciekały.

Gdyby miał Pan zrobić film o Grodzisku, to co by Pan pokazał?

Na pewno miejsce, gdzie była synagoga, cmentarz żydowski i ewangelicki. Świadczenia współistnienia różnych kultur, które intensywnie się tu rozwijały, współistnienia różnych ludzi. Myślę, że odwoływałbym

TO BYŁA CAŁA WYPRAWA, BO PRZECHODZIŁO SIĘ PRZEZ RÓŻNE PODWÓRKA, ZAKAZANE MIEJSCA, DACHY. TRZEBA BYŁO UWAŻAĆ, ZWŁASZCZA NA BAŁTYCKIEJ.

się do przeszłości. Ja cenię, że w tym Grodzisku tyle się dzieje i dzieło. To była taka ziemia obiecana. Jest to pozytywistyczne miasto z romantycznymi akcentami.

W jaki sposób ta przeszłość miasta do Pana dotarła?

Były książki, które otwierały mi jakoś historię, np. Marka Cabanowskiego. Szewc w dziurawych butach chodzi i zawsze bardziej penetruje się miasta, które się odwiedza, niż te w których się żyje. Tak jesteśmy

z tym życia, że zgłębianie wydaje się zupełnie niepotrzebne. Na pewno warto sięgać do literatury. Ale czasem przeszłość jest pod stopami. Chodziłem do przedszkola w Łąkach, do starej czerwonej kamienicy, plac zabaw był na macewach, które odgrzebywaliśmy patykami. Nikt dorosły na to nie zwracał uwagi. Zawsze przypomina mi się słynna scena z filmu „Lista Schindlera”, w której płytami nagrobnymi wykładana jest główna aleja. To bardzo silne skojarzenia.

Znał Pan takie osoby, które wspominały stary Grodzisk?

Miałem sąsiadkę Kazimierę Pękałę. Przyjechała do Grodziska ze Lwowa. Opowiadała o sobie, sąsiadach, o ludziach, którzy mieli znaczenie i przestali mieć znaczenie. O modlących się Żydach, o takich incydentach jak rzucanie w Żydów kamieniami. Opowiadała bardzo intensywnie. Każda jej wizyta i spotkanie zahaczało o przeszłość. Duży wpływ wywarła na mnie historia chłopców z Grodzi-

ne obiekty związane z uzdrowiskiem. Letniskowa tradycja zaczęła nabierać znaczenia. To bardzo cenne, bo świadczy o świadomości historii miasta i jego kultury. Wszystkie te wille, jak Niespodzianka przy Kościuszki, i te drewniane domy, które się zachowały, świadczą o naszej tożsamości.

Przez całe życie mieszka Pan w Grodzisku Mazowieckim. Nie ciągnęło Pana, by wyprowadzić się gdzieś do wielkiego świata?

W czasie studiów trochę mieszkałem w Warszawie, ze względu na logistykę. Ale sama Warszawa mnie nie wciągnęła. Poza tym ona jest tak blisko, że mieszkać tam nie wiadomo gdzie i jechać do centrum jakimś 716 tyle samo co jechać z Grodziska, to zupełnie bez sensu. Poza tym czuję jakąś niewidzialną granicę, którą się fajnie przekracza, świadomie lub nie. Tu żyje się innym rytmem. Dlatego można się zdystansować, odpocząć. Lubię tu mieszkać, bo lubię tu

odpoczywać. Najprościej w życiu. I nie czuję, że jestem na prowincji. Zawsze ceniłem w Grodzisku, że jest wielokulturowy. A te-

raz zmienia się jeszcze bardziej na moich oczach, bo sprowadzają się tu ludzie z całej Polski. I to jest piękne, że ta wspólnota funkcjonuje bez zgrzytu.

A miasta sąsiedzkie nie kusily?

Nie ma takiego miasta jak Grodzisk. Dla mnie jest to miasto wyjątkowe. Spędziłem pięć lat w szkole w Żyrardowie i to miasto jest także specyficzne, ale ma krótszą historię. Koledzy się zawsze kłócili: „jesteście z Grodziska, a tam nic nie ma, a my mamy swoje fabryki”. A my: „wasze fabryki stoją krócej niż nasz Grodzisk”. I nawet chcieliśmy się o to bić. Ale ja bardzo lubiłem Żyrardów, nadal mam tam wielu kumpli. Ale jeszcze bardziej lubię wracać do Grodziska. Nawet z Madrytu.

ZAWSZE CENIŁEM W GRODZISKU, ŻE JEST WIELOKULTUROWY

ska z lat osiemdziesiątych. Takimi wydarzeniami tak mały człowiek jak ja wtedy przesiąka bez zrozumienia, emocjonalnie. Dziecko wyczuwa napięcie. To zdarzyło się obok. Klatka schodowa, sąsiedzi, milicja i potem cierpienie rodzin. Znałem tych chłopaków, zostawałem czasem pod ich opieką. Obcowałem z nimi. Jako mały chłopiec obserwowałem ich – w moich oczach dojrzałych; byli takimi partyzantami. Tomek Łupanow i Paweł Chechłacz mieszkali w moim bloku. To nasi romantycy. Bardzo odpokutowali za swoje młodzieńcze czyny, marzenia o antykomunistycznym podziemiu zbrojnym, dla którego chcieli zdobyć broń, co skończyło się tragicznie – śmiercią milicjanta. Po tamtych wydarzeniach już nie znaleźli dla siebie tutaj miejsca.

W tym zmieniającym się Grodzisku jest jeszcze coś do odkrycia?

Budynki. Myślę, że samo ścisłe centrum dużo mówi. Fajnie, że zostały zrewitalizowa-



JOANNA KRUPSKA

ur. 1959



psycholog, psychoterapeuta, wieloletni prezes
Związku Dużych Rodzin „Trzy Plus”

Jak to się stało, że w 1994 roku sprowadziła się Pani wraz z rodziną właśnie do Grodziska?

Mieszkaliśmy u moich rodziców w Warszawie, a latem w kupionym za bezcen domu w Wólce Kobyłańskiej, który nadawał się do mieszkania tylko w sezonie ciepłym. W 1988 roku, po Piotрку i Pawle, na świat przyszedł nasz trzeci syn Tomasz. Wtedy zaczęliśmy myśleć o budowie domu pod Warszawą. Żeby synowie mieli przestrzeń do aktywności, rozwoju i zabawy. Dlaczego tutaj? Mój mąż Janusz przewidywał, że w przyszłości to miejsce będzie dobrze skomunikowane z Warszawą. A na granicy Grodziska i Milanówka była duża różnica cen. W Milanówku ziemia była dwa razy droższa.

A jak się Państwo poznaliście?

Mojego męża, Janusza Krupskiego, poznałam w 1977 roku jako studentka pierwszego roku psychologii KUL. On był wtedy absolwentem wydziału historii, redaktorem naczelnym „Spotkań”, jednego z pierwszych pism ukazujących się poza cenzurą. Był znany w środowisku jako działacz niepodległościowy, wyróżniający się prostolinijnością i odwagą. To on wraz z dwójką przyjaciół sprowadził do Polski pierwszy powielacz i z grupą kolegów założył Nieocenzurowaną (potem Niezależną) Oficynę Wydawniczą NOWA. Był wielokrotnie represjonowany i aresztowany. Wkrótce po próbie zabójstwa – w 1983 roku był porwany przez grupę D departamentu IV Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do Puszczy Kampinoskiej i tam obłany substancją żrącą zmieszaną z trucizną – wzięliśmy ślub.

Ktoś podpowiadał mężowi Grodzisk?

Nie. Chociaż na pewno rozmawiał o tym z różnymi ludźmi – miał dużo znajomych. Ale w swoich decyzjach był zawsze bardzo niezależny. Po prostu miał przekonanie, że tutaj będzie nam najlepiej. Kiedy już Janusz

kupił ziemię, mój ojciec przyjechał wukadką na inspekcję – sprawdzić, czy zięć dokonał dobrego wyboru. Obejrzał i powiedział: tak, Janusz dobrze wybrał, to jest dobre miejsce na rozwój rodziny. Blisko stacja WKD, z drugiej strony przystanek autobusowy. Tu- taj mu się podobało.

A jak spодobało się Wam?

Na początku nie byłam zachwycona. Sam Grodzisk wydał mi się w 1990 roku miastem smutnym i zaniedbanym. A Okrężna to były zupełne peryferie. Droga była tak podmokła, że jesienią i wiosną tutaj nie dojeżdżało się autem. Trzeba było zostawiać samochody gdzieś dalej, bo grzęzły w błocie. Wówczas to była wieś – to akurat mi się podobało. Naprzeciwko nas pała się krowa. Wszyscy się znali, bo domów przy polnej drodze do stacji WKD było tylko kilka. Nasza działka, choć wcześniej uprawiana, zdążyła zarosnąć ostami i perzem. Miałam świadomość, ile pracy trzeba będzie włożyć, żeby wybudować dom i zagospodarować ogród. Nasz dom w Grodzisku powstawał z wolną, z pomocą finansową moich rodziców.

**KIEDY JUŻ JANUSZ KUPIŁ ZIEMIĘ,
MÓJ OJCIEC PRZYJECHAŁ
WUKADKĄ NA INSPEKCJĘ
– SPRAWDZIĆ, CZY ZIĘĆ
DOKONAŁ DOBREGO WYBORU.
OBEJRZAŁ I POWIEDZIAŁ: TAK,
JANUSZ DOBRZE WYBRAŁ...**

Mama, aby nam pomóc, wyjechała wtedy do Holandii z wykładami. A w naszej rodzinie pojawiały się kolejne dzieci: Łukasz i Janek, no i pierwsza dziewczynka, Marysia.

Po Warszawie i Lublinie błotnista Okrężna w Grodzisku nie była szokiem?

Chyba nie baliśmy się trudności. A może nawet uznawaliśmy je za wyzwanie. Byliśmy zmęczeni wielkim miastem, spragnieni wta-

snego domu, dlatego pokochaliśmy go tak mocno. Jak tu przyjechaliśmy w 1994 roku samochodem, żeby zamieszkać w zupełnie jeszcze niewykończonym domu, wyszła pani Żukowska, sąsiadka z naprzeciwka, miło nas przywitana i zaprosiła wraz z dziećmi na herbatkę i ciastka. Myślę, że nie każdy zdobyłby się na taki gest, żeby zaprosić do siebie rodzinę z szóstką dzieci. To było naprawdę bardzo miłe, poczulśmy się jak

BUNTOWAŁAM SIĘ W URZĘDZIE, KIEDY URZĘDNIK WPISYWAŁ MI W RUBRYCĘ „PRACA” – „NIE PRACUJE”. JAK TO? WYCHOWUJĘ SIEDMIORO DZIECI I NIE PRACUJĘ?

u siebie. A na naszej działce stał mały, zielony domek na narzędzia, w którym chłopcy znaleźli drewnianą strzelbę, więc byli zachwyceni. Mieli znakomitą przestrzeń do zabaw, a w przyszłości do gry w piłkę nożną z chłopcami z sąsiedztwa. Pierwszy rok to był tak zwany dziki zachód. Samochód nam ukradziono – jeszcze w Warszawie. Telefon założono nam dopiero po roku. Komórkowych jeszcze nie było. Dom niewykończony, stałe jakieś roboty. Przyjechała koparka, aby wykopać podłączenie do wodociągu. To była jesień. Okazało się to niewykonalne, ponieważ tak wysoko podchodziły wody gruntowe. Prawie cały rok musieliśmy czekać na podłączenie do wody. Stawojka była na końcu ogrodu. Janusz, jak wracał wukadką z pracy, przynosił kubły wody ze studni do mycia, a w baniakach do picia od sąsiadów, kochanych państwa Żukowskich. Ale to był nasz wyciekany, własny dom!

Zawsze lubiłam tu pracować. Tak, właśnie pracować w domu. Buntowałam się w urzędzie, kiedy urzędnik wpisywał mi w rubryce „praca” – „nie pracuje”. Jak to? Wychowuję siedmioro dzieci i nie pracuję? Jestem przedszkolanką, nauczycielką, kierownicą, kucharką, pedagogiem, sprzątaczką, dekoratorem wnętrz, ogrodnikiem, mediatorem,

terapeutą, praczką, artystką, plastykiem, reżyserem dziecięcych przedstawień i psychologiem – to się nazywa „nie pracuję”?! Przecież to jest najbardziej twórcza i najważniejsza praca na świecie!

W warunkach dzikiego zachodu łatwiej przetrwać, gdy się ma dobrych sąsiadów.

Sąsiedztwo jest bardzo ważne. Mieliśmy szczęście do sąsiadów. Niedługo po wprowadzeniu się do naszego domu zaprzyjaźniliśmy się z rodziną państwa Młockich, którą poznaliśmy w parafii, prawie tak wielodzietną jak my. Trochę później, poprzez szkołę muzyczną poznaliśmy się z też wielodziet-

ną rodziną państwa Dutkiewiczów. Oni wtedy mieszkali w Milanówku i szukali jakiejś działki – ostatecznie przeprowadzili się koto nas, na Okrężną. W 1999 roku w naszej rodzinie urodziła się pierwsza rdzenna grodziszczanka, Tereska. W tym samym roku w obu sąsiedzkich rodzinach też urodziły się dziewczynki – wszystkie trzy szybko się zakolegowały i razem rozrabiwały. W trzech rodzinach w sumie wychowywało się 20 dzieci. Przez długi okres dzieci wspólnie muzykowały, bawiły się, chłopcy grali w kosza i piłkę nożną. Wzajemnie podwoziliśmy sobie dzieci na zajęcia. Spotykaliśmy się z okazji urodzin dzieci, na kolędowaniu, urządaliśmy domowe jasełka, czasem rozszerzone o inne znajome rodziny. To było takie nasze małe Bullerbyn.

Wszystkie Państwa dzieci uczyły się w Państwowej Szkole Muzycznej w Grodzisku?

Właściwie wszystkie, chociaż w bardzo różnym zakresie. Mieliśmy w repertuarze saksofon, pianino, gitarę, wiolonczelę, skrzypce. Niektórzy tylko rok, inni dwa, pięć, tylko Paweł stał się pasjonatem skrzypiec, skończył Uniwersytet Muzyczny im. Fryderyka Szopena. Tomek pięć lat uczył się gry na

skrzypcach. Powiedziałam mu w ostatniej klasie: jesteś już taki duży i mądry chłopak, to sam zdecyduj, czy chcesz dalej się uczyć. Zrezygnował. A po latach powiedział mi dlaczego: bo zawsze na Boże Narodzenie dawane były duże paczki ze słodyczami. A w tym ostatnim roku przestali te paczki dawać. Więc po co do takiej szkoły chodzić, gdzie nie dają paczek ze słodyczami na Święta...

Dlaczego chciała Pani edukować dzieci muzycznie? Przecież to i dla dzieci, i dla rodziców ogromny wysiłek choćby organizacyjny.

Oj, wysiłek jest na pewno. Dowożenie dzieci na zajęcia, towarzyszenie w codziennym ćwiczeniu – jedni są bardziej samodzielni, a inni potrzebują obecności i zachęty rodzica... Ale gra warta świeczki. Szczególnie w rodzinie wielodzietnej, w której nie brakuje dzieciom uspołecznienia, natomiast jest deficyt relacji indywidualnej dziecka z dorosłym. W szkole muzycznej ten deficyt się redukuje. Każdy ma swojego indywidualnego nauczyciela. Poza tym trudno przecenić rolę wychowawczą samej nauki muzyki. Wymaga ona treningu wytrwałości, uwagi, zdyscyplinowania, systematyczności. Wprowadza w świat rytmu, melodii, sztuki, piękna. Poprzez wspólne muzykowanie uczy współpracy i daje doświadczenie harmonii. Czasu spędzonego na kształceniu muzycznym – nieważne w jakiej dawce – nigdy nie uważam za stracony, nawet jeśli później dziecko – czy dorosły – zajmuje się czymś innym. Ta edukacja pozostaje w charakterze, w osobowości, w umiejętnościach społecznych, w sposobie przeżywania świata, sztuki, piękna.

Czym jest dla Pani dom przy Okrężnej?

Dom to budynek, skorupka, która ochrania toczące się życie. Ale serce domu to żywy organizm, który tworzą w niepowtarzalny sposób konkretne osoby, ich relacje, bliskość, zaufanie, wspieranie się, współpraca, a także konflikty i kryzysy. Dom w takim sensie, jak każda żywa istota – pozostając

sobą – nieustannie się zmienia. Przeszliśmy przez różne etapy, a strumień czasu, który nas zmienia, stale płynie. Jesteśmy w drodze. Kto by kiedyś myślał, że te dzieci będą duże? Wydaje się, że one zawsze takie będą, że będziemy przytulać, głaskać po głowie, troszczyć się i rozwiązywać z nimi problemy związane np. z ortografią albo obgryzaniem paznokci. A to się zmienia i za każdym razem zmiana jest wyzwaniem. My sami też musimy się zmieniać: zamiast być opiekunami rodzicami, stajemy się najpierw doradcami, potem towarzyszami i przyjaciółmi dorosłych już dzieci.

Największą i najbardziej dramatyczną zmianą w naszym domu było odejście Janusza. Zginął w katastrofie samolotu pod Smoleńskiem. W wolnej Polsce pełnił w tworzeniu się IPN-u jako wiceprezes tej instytucji, potem został Szefem Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Zawsze dbał o pamięć o oficerach zamordowanych w Katyniu; naturalne było, że dołączył do delegacji Prezydenta. Wprowadził nasz dom na Okrężnej nadal stał, ale ten dom

POTRZEBA BYŁO WIELE LAT, ŻEBY WRÓCIĆ DO TEGO POCZUCIA, ŻE JANUSZ Z NAMI JEST, TYLKO INACZEJ...

wewnętrzny jakby cały się zawalił. Potrzeba było wiele lat, żeby wrócić do tego poczucia, że Janusz z nami jest, tylko inaczej...

Bardzo niezwykła była reakcja naszych sąsiadów. Kiedy koto naszego domu przejeżdżała trumna z ciałem Janusza wzdłuż ogrodzenia stali rzędem sąsiedzi, trzymając zapalone świece. Ludzie z okolicznych domów stawiali przed naszym domem palące się lampki i kwiaty, które porządkowała w następnych dniach pani Zosia Żukowska. Doświadczaliśmy wielkiego współczucia i wielu gestów solidarności ze strony przyjaciół, mieszkańców Grodziska, a także Podkowy Leśnej, gdzie do szkoły uczęszczały nasze córki.

Ma Pani swoje ulubione miejsce w Grodzisku?

Oczywiście: mój dom budowany z Januszem, nasza ulica, sąsiedzi, nasza parafia. Kościółek sióstr dominikanek w Radoniach, miejsce, które dodaje siły i energii, gdzie można odpocząć.

Jak się sprowadziłam, to nie lubiłam jeździć do centrum Grodziska, bo to było takie zaniedbane miejsce. W tej chwili jest to inny Grodzisk. Z przyjemnością chodzę w różne piękne miejsca: deptak, rewelacyjne parki, dworzec, nowa Mediateka. Tym bardziej cieszy mnie ta przemiana, że Tomek jest związany z miastem jako wiceburmistrz.

Dumna jest Pani z tej roli syna.

Jestem dumna z każdego ze swoich dzieci i oczywiście także z Tomka. Niezwykle. I z tego, że wrósł w społeczność i Urzędu Miejskiego, i Rady Miejskiej, i że tak pokochał to miejsce. To mój dodatkowy związek z Grodziskiem. Jestem dumna z tego Grodziska, w którym tak wrośnięty jest Tomek.

Właśnie tutaj, w Grodzisku, zrodziła się niezwykła inicjatywa, czyli Związek Dużych Rodzin „Trzy Plus”.

W 2003 roku w „Liście do Pani” – Miesięczniku Polskiego Związku Kobiet Katolickich – ukazał się wywiad z nami trzema – Magdą Dutkiewicz, Elą Młocką i ze mną. Rozmowa kończy się naszym apelem w sprawie rodzin wielodzietnych: „Chcemy zaapelować do

którą wykonuje się w domu. Rodziny wielodzietne były najuboższą grupą społeczną, a ich pauperyzacja szybko postępowała. Były tego dwie przyczyny: jedna to konieczność podziału zarobków na tym więcej części, im więcej dzieci w rodzinie oraz druga: w miarę wzrastania liczby dzieci w rodzinie, rośnie procent matek rezygnujących z pracy zarobkowej ze względu na większą ilość pracy w domu – czyli pozostaje tylko jedno źródło utrzymania. Matki, które wychowały kilkoro dzieci, a nie pracowały poza domem albo pracowały w niewielkim zakresie, nie będą miały emerytury lub będą ją miały symboliczną. Chcieliśmy pokazać brak logiki w polityce państwa. Wychowywanie dzieci to jest praca, z której skorzysta w przyszłości całe społeczeństwo. Praca, która ma także wymierną wartość dla społeczeństwa, w tym wartość ekonomiczną. Wartość tej pracy powinno się uwzględnić prowadząc politykę rodzinną. I to była idea, wokół której się jednoczyliśmy, bo niostaliśmy trudy macierzyństwa, rozumialiśmy się nawzajem i uważaliśmy, że jesteśmy traktowane bardzo niesprawiedliwie.

Formalnie organizacja powstała w 2007 roku.

Spotkałam takie środowiska, które dosyć podobnie myślały. Przede wszystkim Teresę Kapelę, która założyła Forum Internetowe. Dzięki temu zaczęliśmy się kontaktować z dużymi rodzinami z różnych miast. W 2006 roku zorganizowałyśmy w Sejmie konferencję o rodzinach wielodzietnych, żeby mówić o ich wartości i przeciwstawić się traktowaniu dużych rodzin jak patologii, marginesu społecznego lub jako objawu alkoholizmu i nieodpowiedzialności. Chcieliśmy pokazać wielodzietność jako racjonalny i pozytywny wybór, podkreślić nasze prawo do wychowywania takiej liczby dzieci, jaką uważamy za słuszną, i domagać się, żeby państwo nie karało nas za to finansowo. W 2007 roku na zebraniu założycielskim Związku Dużych

Rodzin „Trzy Plus” zostałam wybrana na prezesa. Pewnie na to bym się nie odważyła, gdyby nie wsparcie ze strony mojego męża Janusza.

Zaczęliśmy myśleć o stworzeniu systemowych rozwiązań wspierających rodziny, które decydują się na dzieci, tak by zapobiegać pauperyzacji rodzin na skutek posiadania następnego dziecka. Z jednej strony nasze działania były ukierunkowane na rozwiązania centralne, a z drugiej – wiedzieliśmy, że tę ideę trzeba też zakorzenić na poziomie gminy. Dlatego już w 2007 roku w oparciu o naszą grodziską grupkę rodzin zorganizowałyśmy w Szpitalu Zachodnim konferencję na temat rodzin wielodzietnych. Zaczęliśmy współpracować z radnymi powiatowymi: Wojciechem Hardtem i Iwoną Wiąckowską. Zaprosiliśmy na konferencję ekonomistkę, wówczas doktora, a dziś już profesora, Łukasza Hardta, demografa, dr Irenę Kowalską, doktora (obecnie profesora) prawa Leszka Boska, radnego Dominika Golemę, aby opowiedział o rozwiązaniu wrocławskim z 2005 roku – weekendowej Karcie dla rodzin wielodzietnych.

Konferencja zaistniała w mediach?

Tak. Na dodatek uzyskaliśmy patronat Marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego. Zrobiliśmy wystawę zdjęć rodzin wielodzietnych z Grodziska, aby pokazać, że nie jesteśmy patologią. Obecni byli burmistrz, radni. Mogliśmy wydobyć środowisko wielodzietne z białej plamy. Zaistnieliśmy.

Zatem to był początek.

Po tej konferencji w 2007 roku poszliśmy do burmistrza Grodziska Grzegorza Benedykcińskiego w sprawie programu lokalnej polityki rodzinnej. Chcieliśmy jako Związek pokazać, że zależy nam na budowaniu polityki rodzinnej, że mamy plan działania. Wypisaliśmy, co byśmy chcieli osiągnąć – wybraliśmy jako priorytet Kartę Dużej Rodziny.

Konferencja w Szpitalu Zachodnim spotkała się z dobrym oddźwiękiem. Pan burmistrz okazał otwartość, dostrzegł racjonalność naszych argumentów. Chcieliśmy, aby powstała prawdziwa Karta Dużej Rodziny.

Wprowadzenie karty w Grodzisku to był plan minimum czy maksimum?

To, co się stało w Grodzisku, zapoczątkowało kulę śnieżną. Nie spodziewaliśmy się tego. Karta Dużej Rodziny, która narodziła się w Grodzisku w 2008 roku, była owocem współpracy między stowarzyszeniem, oby-

KARTA DUŻEJ RODZINY, KTÓRA NARODZIŁA SIĘ W GRODZISKU W 2008 ROKU, BYŁA OWOCEM WSPÓŁPRACY MIĘDZY STOWARZYSZENIEM, OBYWATELAMI A WŁADZĄ SAMORZĄDOWĄ

watelami a władzą samorządową. Była to inicjatywa podjęta przez nas, zaakceptowana przez burmistrza i uchwalona przez Radę Miejską. Nasze rodziny podjęły ogromny wysiłek, aby to wszystko nagłośnić. Zorganizowałyśmy wręczenie pierwszej Karty Dużej Rodziny. Roznosiliśmy plakaty, chodziliśmy do dyrektorów szkół, aby każda rodzina wielodzietna dostała zaproszenie. W efekcie sala nowego Centrum Kultury, dopiero co oddanego do użytku, wypełniła się podwójnie, czyli przybyło około 700 osób. Nikt nie spodziewał się, że przyjdzie tyle osób zainteresowanych kartą. Połączyliśmy to wydarzenie z jasełkami przygotowanymi przez przedszkole, Grodziski Chór Bogorya Marcina Łukasza Mazura i zespół smyczkowy tworzony przez dzieci z rodzin wielodzietnych. Za Trzech Króli przebrani byli burmistrz Grzegorz Benedykciński, Marcin Łukasz Mazur i wiceprezes Związku Dużych Rodzin Konstanty Radziwiłł. To był grudzień 2008 roku, tuż przed świętami Bo-

JAK SIĘ SPROWADZIŁYMY, TO NIE LUBIŁAM JEŹDZIĆ DO CENTRUM GRODZISKA, BO TO BYŁO TAKIE ZANIEDBANE MIEJSCE

wszystkich, zróbcie co tylko w waszej mocy, by ułatwić życie rodzinom wielodzietnym”. A to był czas, kiedy naprawdę trudno żyło się dużym rodzinom, a polityka rodzinna państwa była... antyrodzinna. Państwo wtedy nie brało pod uwagę wartości ekonomicznej pracy opiekuńczo-wychowawczej,

żego Narodzenia, wybuch energii był niesamowity. Po wprowadzeniu Karty opanowała nas euforia i poczucie, że jest to odkrycie, którym warto się dzielić.

Euforia to przyjemny stan, ale chęć dzielenia się swoim odkryciem wymagała działania.

Zapoczątkowaliśmy wtedy bardzo długi okres bliskiej współpracy z miastem i burmistrzem w celu propagowania Karty. Grodzisk na parę lat stał się stolicą popularyzowania idei karty i zmiany myślenia o rodzinach wielodzietnych. I zataczało to coraz szersze kręgi. Kartą zaczęły się interesować rodziny z kolejnych miast i podejmowały rozmowy w swoich lokalnych środowiskach z władzami. Jako ZDR „Trzy Plus” razem z Gminą Grodzisk w 2011 roku zorganizowaliśmy konferencję dla samo-

GRODZISK NA PARĘ LAT STAŁ SIĘ STOLICĄ POPULARYZOWANIA IDEI KARTY I ZMIANY MYŚLENIA O RODZINACH WIELODZIETNYCH.

rzędowców w celu propagowania Karty Dużej Rodziny. Obecni byli pani prezydentowa Anna Komorowska, ksiądz kardynał Kazimierz Nycz. Na spotkaniu było około 300 osób – samorządowców z całej Polski. Były też osoby z zagranicy, m.in. Raul Sanchez, sekretarz generalny Europejskiej Federacji Dużych Rodzin (ELFAC), który mówił o doświadczeniach europejskich. Konferencja była niezwykle udana i po niej posypały się kolejne karty w kolejnych miastach. To był niezwykle ważny ruch społeczny, oddolny, samorządowy i rodzinny. Postulowaliśmy wtedy, by obok lokalnych Kart powstała Ogólnopolska Karta. W 2013 roku w Grodzisku odbył się I Ogólnopolski Zjazd Dużych Rodzin „Trzy Plus”. Grodzisk stał się wtedy prawdziwą stolicą wielodzietności. Na trzy dni przyjechało tu 1000 osób z rodzin wielodzietnych z całej Polski. Połowę gościli w swoich domach

mieszkańcy Grodziska, druga połowa zatrzymała się w hotelach. Było dużo różnego rodzaju spotkań, warsztatów, koncertów, dyskusji, zabaw. Na Zjazd przyjechał prezydent Bronisław Komorowski i na spotkaniu z rodzinami zapowiedział, że zostanie wprowadzona Ogólnopolska Karta Dużej Rodziny. Zjazd stał się również wydarzeniem ogólnopolskim w takim sensie, że odbywa się od tamtego czasu corocznie w różnych miastach Polski.

Z relacji sąsiedzkich rodziły się nie tylko rzeczy spektakularne jak Związek Dużych Rodzin. Podobno istnieje specjał zwany „kawą z Okrężnej”.

Jasne! Najlepsza kawa z Okrężnej! Na taką kawę spotykaliśmy się z Magdą i Elą – trzy wielodzietne mamy w otoczeniu czerechy naszych dzieci. „Kawa z Okrężnej” tak naprawdę była efektem naszej okresowej fascynacji chińskimi przepisami kulinarnymi. A więc trzeba zagotować kawę z cynamonem, wrzucić trochę goździków, można dodać trochę kardamonu i po ugotowaniu troszeczkę miodu.

Najlepiej trzy razy zdjąć kawę z palnika i trzy razy zagotować. Tak ugotowana kawa jest najzdrowsza!

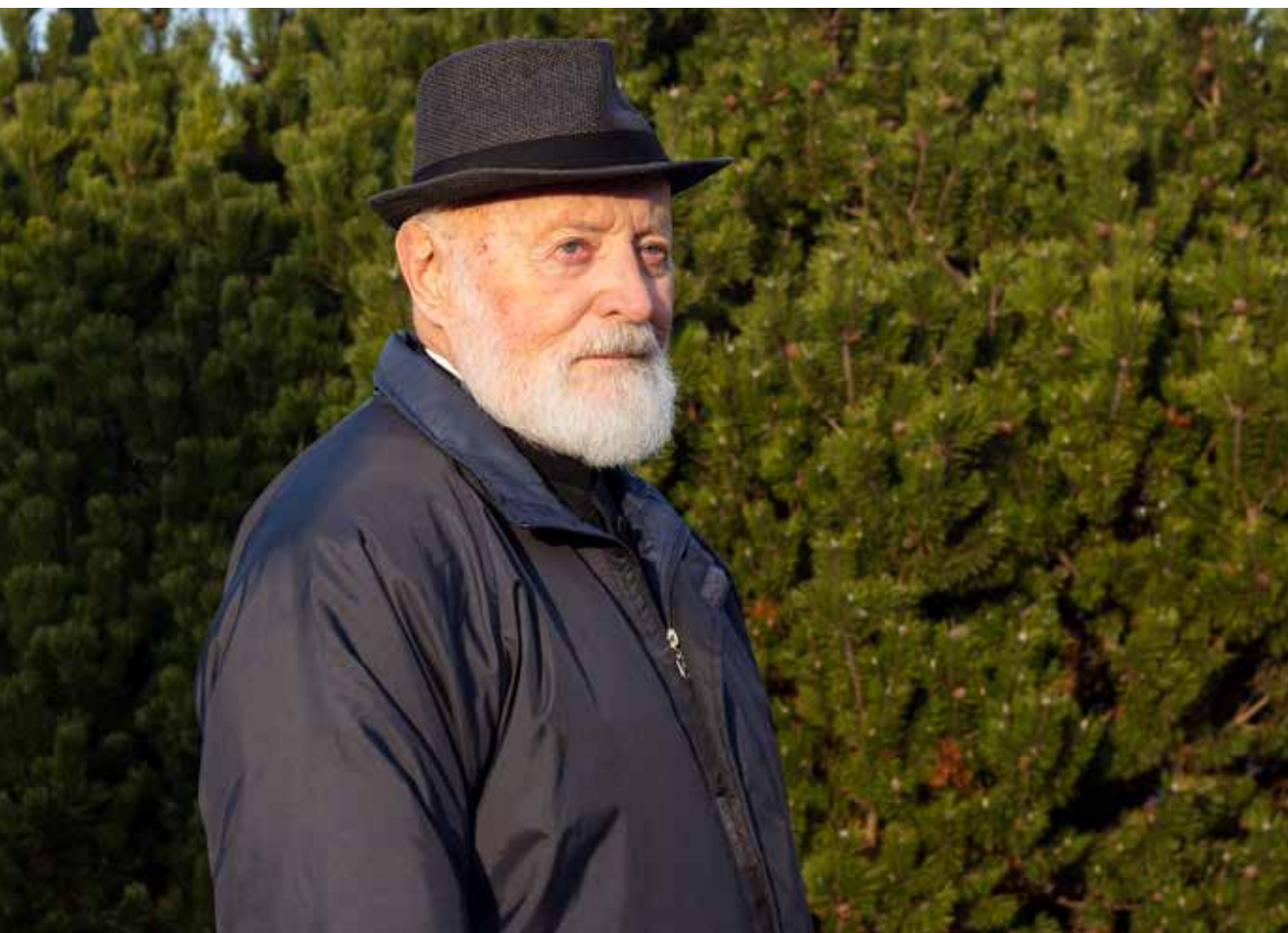
Mąż jest cały czas obecny na Okrężnej?

Bardzo. To dom, który zbudował. On wymyślił to miejsce. On nas tutaj sprowadził. To był jego pomysł i projekt. To był jego ogród. On tu zasadził wszystkie drzewa. Odnajduję rysy jego twarzy, cechy charakteru w naszych dorosłych dzieciach. Przypominam sobie jego słowa. Wciąż z nami jest. Jest niezwykłym człowiekiem. Radością jest dla mnie, że o nim się w Grodzisku pamięta. Jest tablica w naszej parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Jest rondo imienia Janusza Krupskiego na skrzyżowaniu Królewskiej i Okrężnej. Często specjalnie tamędy jadę, nawet jeśli mi nie po drodze.



MIECZYŚLAW NOWAK

ur. 1937



poeta, teolog, rekolekcjonista, misjonarz, autor 88 książek, ukończył Wyższe Seminarium Metropolitalne Duchowne w Warszawie, Katolicki Uniwersytet Lubelski

Ksiądz urodził się w Adamowiźnie...

W Starem, nie w Adamowiźnie! Rok o to walczyłem, kiedy przygotowano mi paszport, gdzie jako miejsce urodzenia widniała Adamowizna. Tłumaczę: macie przecież metrykę. Ale nie przewalczyłem, bo ustawa działała wstecz i zlikwidowała Stare. Stare to było uroczysko nad Mrowną, które zakupili Chetmońscy. Urodziłem się w szkole w Starem – tam były trzy sale lekcyjne, a w czwartej myśmy mieszkali. Ponieważ byłem pierwszym chłopakiem w rodzinie, to do chrztu trzymał mnie doktor Chetmoński, a chrzestną była kierowniczka szkoły Wanda Niemyska. Ochrzczony byłem w kościele św. Anny w Grodzisku i tu była moja Pierwsza Komunia Święta, a potem msza św. prymicyjna. A teraz na miejscu szkoły nad stawkiem jest taka ładna willa. Jak kogoś przywożę na Stare, to pokazuję ten dom, piękny park i mówię, że tu się urodziłem.

Rodzice byli miejscowi?

Doktor Mateusz Chetmoński gdzieś tam wytuskał mojego tatę i jako wyrostka wziął do pracy przy koniach. Okazał mu tym wielką pomoc, bo rodzice taty zmarli. A mamę, panienkę z Lubelskiego, doktor sprowadził, żeby była kucharką. I tu się rodzice poznali. Po moim urodzeniu mieszkaliśmy w Starem jeszcze dwa lata. Potem kupili gospodarstwo w Radoniach. Ja jednak cały czas w Starem byłem obecny, bo tu była szkoła i ciągle ze Starem byłem związany. Była nas czwórka, dwie siostry już nie żyją, tylko najmłodszy brat został, w Radoniach na ulicy Natkowskiej.

Co Ksiądz pamięta z tych dziecięcych lat?

Piękno wsi. Pasienie krów. Szkołę. Jej klimaty. Klasy z kałamarnicami i piórami. Jest takie zdjęcie w wydanej na stulecie szkoły w Starem książce. To zdjęcie od mojej chrzestnej. Dzieci siedzą w ławkach, a ona tak z boku, taka sroga dosyć, ale to był dobry człowiek i pedagog.

Jeździł Ksiądz wtedy do miasta?

Nie. Mama jechała do miasta, przywoziła stamtąd bułeczkę od Dudzieca, który miał piekarnię. To był szczyt marzeń, dostać taką

kajzerkę. Potem do Grodziska chodziłem do szkoły. To było pięć kilometrów. Nie było żadnych autobusów. Czasami podwoził mnie samochód z fabryki w Zapolu, a niekiedy zabierał bryczką doktor Chetmoński. Woźnicą był Walenty. Z nami zabierała się też koleżanka Marysia Okońska. I doktor nas „żenił”, nastolatków. Oczywiście nic z tego nie wyszło.

**A SZKOŁA W ADAMOWIŹNIE
POWSTAŁA DZIĘKI NIEMU
– DAŁ DZIAŁKĘ Z WŁASNEGO
POLA POD JEJ BUDOWĘ.**

Jak Ksiądz wspomina doktora Mateusza Chetmońskiego?

To był lekarz społecznik. Ojciec mi opowiadał, że jak doktor jeździł w nocy do chorego czy umierającego – a tata powoził, więc był świadkiem – ludzie często mówili, że nie mają czym zaptacić. Doktor odpowiadał: „To nic. Kiedyś jajek przyniesiecie czy kurę”. Działał w jakimś Komitecie budowy szkół na terenie Grodziska. A szkoła w Adamowiźnie powstała dzięki niemu – dał działkę z własnego pola pod jej budowę. A ja jemu zawdzięczam życie. Miałem sześć tygodni, mama mi o tym opowiadała, był maj, poszła pielic, tam nad stawkiem, postawiła wózek nieopodal. Wózek zjechał do wody, więc to były sekundy. Obok był młyn. Akurat młynarz wyszedł na papierosa i zobaczył, co się dzieje. Krzyknął tylko: „Dziecko się topi!”. Mama pobiegła jak oszalała nad duży staw, bo myślała, że tam siostry mogły wpaść do wody. Młynarz wskoczył do stawiku i wyciągnął mnie stamtąd. Ja już tej rzęsy się najadłem i wody napiłem. Doktora wtedy nie powinno być w domu, bo zawsze o tej porze był w rozjazdach. Jednak był i to reżyseria Boża. Zrobił, co trzeba i uratował mnie.

Grodzisk też tak silnie zapadł Księdzu w pamięci?

Grodzisk był może dla mnie trochę trefny. Miałem zadatki nauczycielskie od mojej chrzestnej, więc zgłosiłem się do Liceum Pedagogicznego. Odpowiedź była, że nie mogą mnie przyjąć, bo

jestem za młody. No to poszedłem do gimnazjum na Żwirki i Wigury. Po roku wróciłem do liceum pedagogicznego do pierwszej klasy. No i się zaczęło. To był czas stalinizmu, uwzięli się na moją wiarę młodzieńczą, bo chodziłem do kościoła na religię, więc dla mnie to był czas ideologicznych przeżyć i zmagania. Przeszkadzało im, że mam być nauczycielem w Polsce Ludowej. Przyszła sesja, której świadkiem była pani profesor Obłękowska, sąsiadka z moich stron. Trwało to całą noc, bo walczyli o mnie i o koleżankę Jackowską starzy nauczyciele. Nie przewalczyli. Dyrektor postawił na swoim. I oboje nas wyrzucili ze szkoły. Wróciłem do Liceum Ogólnokształcącego TPD na Żwirki i Wigury. Tam był mądry dyrektor Józef Koryczan, który mówił, że są różne ideologie i każdy musi wybrać sam. I co ciekawe, szkoła wychowywała ateistycznie. A tam się zrodziło moje powołanie. Musiałem się z tym kamuflować, bo przecież nie dostałbym matury. Moja wychowawczyni Anna Tustanowska pyta się, Mieciu, gdzie ty idziesz? A ja, że na meliorację. Ty, ze zdolnościami polonistycznymi? – pyta. A „melior” znaczy ulepszenie. I poszedłem... do seminarium.

Miał Ksiądz swoje ulubione miejsca w Grodzisku?

Na pewno szczególnie miejscem był kościół św. Anny, gdzie wówczas było trzech księży, bardzo aktywnych. Mam też bardzo dobre wspomnienia z tych trzech szkół. W Liceum Pedagogicznym należałem do zespołu tanecznego, mieliśmy drugie miejsce w województwie. Przyjeżdżała instruktorka z zespołu „Mazowsze” i nas ćwiczyła. Tańczyłem z Danusią Owczarek. Z ogólniaka przy Żwirki i Wigury poszło nas czterech z różnych lat do seminarium. Grodzisk wtedy był inny. Były drewniane budynki, kolejka WKD, która dojeżdżała aż do stacji PKP. Po drodze wskakiwało się do wagoników. Miejscem wyjątkowym był cmentarz, gdzie... uczyliśmy się do matury. Bo to park, były ławeczki i zacienione miejsce. To był pewnie też czas takich młodzieńczych spotkań i zalotów. W domach też się spotykaliśmy, aby się pouczyć. I zawsze wracałem do Starego nad Mrowną, do tego uroczyska, jak mówiła Nałkowska, która bywała u Zahrtów w Adamowiznie jako przyjaciółka pani Zofii jeszcze ze Szczepieszyna i Warszawy.

Ksiądz też tam bywał?

Pani Zahrtowa, z domu Villaume, miała z mężem w dworku aptekę. Poszedłem tam kiedyś do pani Zahrtowej, aby się uczyć francuskiego. Ona znana literaturę europejską i światową i ja tam tego się uczyłem. To był człowiek z kulturą i bardzo ocytany. Właśnie tam w czasie wojny przebywała Zofia Nałkowska, a i potem często przyjeżdżała. Ja jednak nigdy tam Nałkowskiej nie spotkałem. Później pomagaliśmy pani Zahrtowej, która już nie widziała. Wraz z koleżanką przychodziliśmy i sprzątaaliśmy. Uratowałem listy Nałkowskiej pisane do pani Zahrtowej i trafiły one na KUL. Pani Zahrtowa zmarła, jak byłem w pierwszym roku mojego kapłaństwa, w 1961 roku. Na jej pogrzebie na Powązkach mówiłem kazanie wśród całej rzeszy przedstawicieli Związku Literatów Polskich.

Po skończeniu szkoły spotykał się ksiądz ze swoimi koleżankami, kolegami ze szkolnej ławy?

Dwadzieścia dziewięć lat po maturze mieliśmy pierwsze spotkanie. Zaprosiłem ich wtedy do siebie, bo byłem proboszczem w Gołąbkach. Był m.in. nasz gimnastyk prof. Karol Pigłowski, który świetnie się prezentował. Podeszła do niego koleżanka Ela Modzelewska i mówi: a ty, stary, całkiem jeszcze nieźle wyglądasz. Myślała, że to jeden z nas, a nie profesor. Byli fizyk Mikulszyc czy Tustanowska z Milanówka, nasza wychowawczyni i nauczyciel biologii. Fajni nauczyciele. Mieliśmy szczęście. Była nauczycielka matematyki Janina Kacperska z Żyrardowa. W maturalnej klasie przerebiła z nami cały materiał, abyśmy zdali ten egzamin, bo wcześniej ciągle zmieniali się nam matematycy. Kolega Bobrowski i Andrzej Potyński, nasz gospodarz klasowy, byli organizatorami tych spotkań absolwentów, one trwały do niedawna. Potyńskiego nazywaliśmy Ociem, od ojca.

Wspomniał Ksiądz, że powołanie narodziło się w Grodzisku.

Tak. Mieliśmy wspaniałych księży. Ksiądz Jan Szymborski, ksiądz Jerzy Dziurzyński, ksiądz Witold Jankowski. Byli młodzi i każdy inny. W szkole był obowiązek należenia do ZMP,

czyli Związku Młodzieży Polskiej. W pierwsze piątki miesiąca zakrywaliśmy czerwone krawaty, które musieliśmy nosić, i szliśmy do komunii świętej. Tak nas tutaj księża porwali i formowali. Bardzo im wiele zawdzięczam.

A rodzina i dom miały duży udział w formowaniu?

Rodzina dała jakieś pierwsze zadatki. Dużo zawdzięczam też pani Stefani Perzynównie, która uczyła religii w szkole w Starem.

Po ukończeniu seminarium Ksiądz wracał do Grodziska, na Stare?

Rzadko. Człowiek był zajęty na parafiach, dużo było wyjazdów z młodzieżą, rekolekcje, wykłady na różnych kursach katechetycznych. Ale



mamę i tatę co i raz odwiedzałem. Wróciłem tu na stałe w emeryckich latach, kilka lat temu i ja tych miejsc już nie poznawałem. Wszystko musiałem odkrywać na nowo, bo mnie tu kilkadziesiąt lat nie było.

Teraz jest Ksiądz rezydentem w parafii św. Anny.

Podział diecezji warszawskiej zastał mnie w diecezji warszawsko-praskiej. Jednak emeryturę dożywam już na swoim terenie, na co musiał zgodzić się biskup warszawsko-praski. Tu mam takie przytulisko przy parafii św. Anny. Prowadzę spotkania biblijne, udzielam się, gdzie mogę. Jeżdżę z kazaniem, tam gdzie poproszą.

A ważne miejsca dla Księdza?

To klasztor sióstr dominikanek, właśnie w Radoniach, u mnie. Pamiętam, jak jeszcze kaplicy nie było, tylko msza święta w takim pokoju się odprawiała. Jak finanse pozwolą, to tam powstanie dom rekolekcyjny, bo jest osiem hektarów ziemi, które siostrą klauzurową dała protestantka.

Grodziskowi czegoś brakuje?

Ja się cieszyłem wszystkim w Grodzisku, jak go kolejni władcy i burmistrzowie ulepszały. Wyładniał Grodzisk. Dobrze się tu żyje. Ma dobrych gospodarzy, łącznie z panem Grzegorzem Benedykcińskim.

Na przestrzeni 500 lat istnienia Grodziska różne były losy miasta, spokojne, trudne a niekiedy tragiczne.

Widać jak ważne są korzenie, z których wyrasta jakaś miejscowość. To ludzie i ich duch składają się na geniusz miasta. Ich przewidywanie i wiara, każdego z osobna. Daj Boże, żeby to trwało, bo dopiero na tym można budować. Taki stan utrzymać można przez wychowanie i stworzenie warunków, aby ludzie mogli się rozwijać w rodzinach i szkołach i przy dobrych mediach. Człowiek kształtuje się w trudnych czasach i to kształtuje bohaterów i wielkich ludzi.

ŁUKASZ NOWACKI

ur. 1979



specjalista do spraw historii miasta w Ośrodku Kultury Gminy Grodzisk Maz., animator kultury, autor artykułów i publikacji popularyzujących dzieje miasta i regionu, studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, radny Rady Miejskiej

Historia Grodziska to dla Pana coś więcej niż praca zawodowa.

Moja rodzina mieszka tu co najmniej od trzech pokoleń. Pradziadek wraz z rodziną sprowadził się w te okolice spod Kalisza i objął posadę zarządcy w majątku Maruna. Tam był młyn i nieistniejący już folwark. Dziadek zamieszkał w Chylicach, potem kupił dom w Grodzisku i otworzył tu sklep z artykułami szewskim. Do 1972 roku Nowaccy mieszkali w willi Radogoszcz. Pradziadkowie ze strony mamy osiedli w Łąkach, na ulicy Chlewińskiej, gdzie spędziłem dzieciństwo. Jak większość dzieci z mojego pokolenia urodziłem się w Mi-

lanówku, bo tam był wówczas szpital położniczy, ale od urodzenia mieszkam w Grodzisku. Szczególnie ważni są dla mnie ludzie, którzy wtajemniczali mnie w Grodzisk: Aurelia i Janusz Sobierajowie, Elżbieta Potyńska i Marek Cabanowski, z którymi spotykałem się w Radogoszczu. Oni zachęcali mnie, wtedy młodego człowieka, do dyskusji o historii Grodziska, dzielili się archiwaliami, zapraszali do współpracy. To były swego rodzaju szkolenia z wczuwania się w dzieje i tożsamość tego miasta.

Kim wtedy był dla Pana Marek Cabanowski?

Mentorem i autorytetem. Wspomnę, że jego dwie ostatnie książki przechodziły przez moje ręce jako redaktora pisma „Bogoria”. Miałem okazję ściśle z nim współpracować, chociaż na początku nie dopuszczał zmian w swoim tekście. Potem się zaprzyjaźniliśmy i nawet parę razy skomplementowałem zaproponowane przeze mnie zmiany. Praca z Markiem Cabanowskim to było przejście na wyższy stopień wtajemniczenia.

Takich impulsów było więcej?

Przychodziłem na lekcje muzealne z różnymi grupami i słuchałem, jak Elżbieta Potyńska i Aurelia Sobieraj uczą o Grodzisku. Od lokalnego szczegółu przechodziły do historii powszechnej i historii sztuki. Dla mnie

punktem zwrotnym był moment, gdy w nowym Centrum Kultury dyrektor Paweł Twardoch zaproponował mi pracę w charakterze kustosa Sali Historii Miasta. To miejsce powstało z inspiracji poprzedniego dyrektora Ośrodka Kultury Andrzeja Okurońskiego i miało charakter sali multimedialnej prezentującej dzieje Grodziska. Zapoznałem się ze wszystkim, co historyk Andrzej Stawarz przygotował do ekspozycji, z całym archiwum Muzeum Regionalnego PTTK w Grodzisku Maz., przejrzałem archiwalne numery „Bogorii”, która jest skarbnicą wiedzy o historii Grodziska. I zakiełkowa-

PRZEJRZAŁEM ARCHIWALNE NUMERY „BOGORII”, KTÓRA JEST SKARBNICĄ WIEDZY O HISTORII GRODZISKA. I ZAKIEŁKOWAŁA MYŚL, ŻEBY Z TĄ CAŁĄ WIEDZĄ WYJŚĆ DO LUDZI.

myśl, żeby z tą całą wiedzą wyjść do ludzi. Jeśli dobrze pamiętam, to pierwszy spacer historyczny odbył się w kwietniu 2009 roku, a na trasie towarzyszyli mi Janusz Sobieraj oraz Jakub Bendkowski, historyk sztuki również zafascynowany lokalnymi dziejami. Taki sposób edukacji, rozmowy o historii został bardzo dobrze przyjęty przez mieszkańców.

W pewnym sensie podjął Pan spuściznę Marka Cabanowskiego, który popularyzował historię miasta.

Głównie za sprawą pana Marka Grodzisk doczekał się takiej narracji, że jest to miejsce ciekawe, warte poznawania, gdzie żyli wielcy ludzie, toczyły się ciekawe procesy historyczne i jak w soczewce odbijają się losy Polski. Kiedy sam zacząłem to dostrzegać, starałem się ten rodzaj publicystyki uprawiać. Na tym to polega, by odbiorcy mieli poczucie, że to tu, w tej kamienicy, z udziałem naszych znajomych czy przodków, dzieje się wielka historia. Wokół tych wydarzeń budowana jest ciekawa i intrygująca opowieść.

Tych historii zastyszanych, opowiedzianych, udokumentowanych przybywa?

Niebywałe jest to, że to nieskończony proces. Cały czas dochodzą nowe materiały. Pojawiają się ludzie, którzy mówią, że w swoich domowych archiwach przechowują coś, co dla nich jest rzeczą oczywistą, a dla ogółu to prawdziwa rewelacja. Czasem są to ślady rodziny Mokronoskich czy wręcz ich portrety, które wiszą u kogoś w Kanadzie. Jakaś pani pisze o przedwojennym burmistrzu, o którym wiemy tyle, ile zostało w archiwach miejskich, a ta osoba z USA przedstawia całe jego drzewo genealogiczne.

Jaki Grodzisk zachował się w Pana pamięci?

Pamiętam Grodzisk z lat osiemdziesiątych jako skansen PRL-u, szare miasteczko robot-

przekonać, że na co dzień mijane miejsca mają wielkie znaczenie, i zachęcić, aby się swoją wiedzą o nich podzielili. Dla mnie jest ogromnie cenne, że wiekowe niekiedy osoby dzielą się ze mną swoją wiedzą i wspominają. Mam też poczucie, że tym nowym mieszkańcom imponuje to, że nie mieszkają w mieście X, ale że to jest właśnie Grodzisk Mazowiecki. Miasto o takich tradycjach, o takiej historii. Widzę, jak ci ludzie tą wiedzą się chwalą, są dumni z tej nabytej tożsamości. Ziarno zasiane w postaci opowieści o historii miasta gdzieś tam kiełkuje.

Jak Grodzisk sytuje się na historycznej mapie tej części Mazowsza?

Na mapie Mazowsza Zachodniego Grodzisk jest miastem wyjątkowym z wielu powodów.

Po pierwsze nie znam drugiego takiego miasta, gdzie mamy tak niespotykany układ przestrzenny. Są dwa rynki stykające się bokami czy, jak dawniej mawiano, „rynek z szyją”. Po drugie, mamy cały czas moż-

liwość oglądania kolebki lokalnej cywilizacji w postaci Gór Szwedzkich, czyli pozostałości średniowiecznego grodu, który dał miastu początek i nazwę. Grodzisk to także miasto, które było pierwszym na szlaku Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Budowniczości kolei mieli trzy warianty linii i wybrali tę, która przebiegała przez Grodzisk. Dzięki temu miasto otrzymało drugie życie, bo kolej spowodowała ogromny rozwój. Inny ważny moment rozwoju miasta to pojawienie się EKD, czyli pierwszej w Polsce normalnotorowej kolei elektrycznej. Grodzisk miał też otwarty pod koniec XIX wieku Zakład Wodolecznicy doktora Michała Bojasińskiego, niezwykle nowoczesny, modny i dobrze zarządzany kompleks wypoczynkowo-sanatoryjny. To dzięki niemu budowana była marka Grodziska jako miejscowości uzdrowskiej, czego pamiątką są liczne wille letniskowe. Dziś takim znakiem szczególnym i kolejnym etapem rozwoju stał się węzeł drogowy przy autostradzie A2, który włączył miasto w sieć szlaków ogólnopolskich i europejskich, zapewniając stały napływ firm – inwestorów

ZIARNO ZASIANE W POSTACI OPOWIEŚCI O HISTORII MIASTA GDZIEŚ TAM KIEŁKUJE

nicze. Nie było to miasto ani estetyczne, ani pociągające, choć na swój sposób fascynujące. Wspominam Łąki, czyli dalekie przedmieścia, wręcz tereny wiejskie, gdzie toczyło się życie rolnicze, a widok wozów konnych był czymś codziennym i naturalnym. Ostatnie trzydziestolecie przyniosło miastu zmiany niemal kosmiczne. Podoba mi się, że Grodzisk jest wielowymiarowy, bo zabezpiecza różne potrzeby mieszkańców i cały czas pozytywnie zaskakuje.

Gdyby miał Pan określić grupę odbiorców swoich opowieści o historii, to kto by się w tym gronie znalazł?

Myślę, że ze swoimi opowieściami o Grodzisku przede wszystkim docieram do nowych mieszkańców, którzy sprowadzili się do Grodziska i chcą poznać miejsce, w którym przyszło im żyć, wiążą z nim swoje plany. To właśnie tacy ludzie stanowią znaczną grupę tych, którzy interesują się Grodziskiem. Starsi mieszkańcy mają tę wiedzę jakoś ugruntowaną, dla nich jest to normalne otoczenie. Ale i tych mieszkańców, którzy są tu od pokoleń, staram się

polskich i zagranicznych. Poza tym Grodzisk wykorzystuje dotacje unijne i ma ogromny potencjał w zakresie zagospodarowania przestrzeni miejskiej, co widać szczególnie w tworzeniu i rewitalizacji terenów zielonych. To miasto, które otrzymało swoją szansę od losu i ją wykorzystało, ale jak mówi porzekadło – fart przytrafia się, gdy okazja spotyka się z przygotowaniem. Cieszę się, że Grodzisk stał się marką na poziomie ogólnopolskim. Na tę markę trzeba było pracować latami, ale udało się to miasto ożywić, zmodernizować, upiększyć, wyposażyć w potrzebną infrastrukturę i udanie umiejscowić w szerszym kontekście, także historycznym.

Znany jest Pan jako mistrz lokalnych anegdot. Poproszę o podzielenie się jedną z nich.

Dziękuję za komplement. Opowiem kapitalną historię zastyszaną od pana Tadeusza Jałowieckiego, dotyczącą pochodzenia nazwy wsi Odrano-Wola. Otóż chłopi z tamtejszych okolic mieli uratować życie carskiemu namiestnikowi i car w dowód uznania i wdzięczności zezwolił, aby sami wymyślili nazwę swojego siola. Chłopi siedli, naradzali się, dumali, ale gdy w końcu przyjechali do nich carski urzędnik z dokumentami i zapytał, jaką dali nazwę, odpowiedzieli, że co prawda niczego wymyślili, ale od rana mieli wolę, aby to zrobić. I tak powstała wieś Odrana-Wola. Na marginesie dodam, że w istocie jest to zniekształcona forma wcześniejszej nazwy, która brzmiała Jordana Wola czy też Wola Jordanowska, ale czy to wyjaśnienie wyklucza piękną legendę?

Miasto to ludzie. Dałoby się wybrać trzy postaci, które najbardziej odcisnęły piętno na dziejach Grodziska?

Nie ma wątpliwości, że rodzinami odpowiedzialnymi za rozwój i kształt Grodziska były rodziny, które miastem władały, czyli Okuniowie, Mokronoscy i Skarbkowie. To oni na prze-

strzeni wieków pełnili rolę prawnych właścicieli miasta. Drugą grupą odpowiedzialną za miasto byli mieszkańcy, równie ważną – mieszkańcy okolicznych wsi, ponieważ dobrobyt Grodziska jako handlowo-rzemieślniczego centrum, miejsca targów i jarmarków oraz punktu świadczenia usług zależny był od stanu sąsiednich wsi, majątków i folwarków. Grodzisk był więc tak bogaty, jak bogate były wsie, które go otaczały. A spośród tych postaci, które wpłynęły na losy Grodziska, wymienilibym osoby niestandardowe, bo tych, które zapisały się w pamięci mieszkańców, jest sporo: Chętmoński, Teliga, Najdorf, Szapiro, ze współczesnych oczywiście Grzegorz Benedykciński jako autor największych sukcesów miasta. Należy więc wspomnieć o Michale Bojasińskim, który pierwszy wpadł na pomysł, by wykorzystać walory przyrodnicze Grodziska. Dzięki dogodnemu połączeniu kolejowemu i dostępności terenów zielonych wytworzyła się moda na wycieczki do Grodziska na lotnisko. Wystarczyło postawić

DZIĘKI BOJASIŃSKIEMU I JEGO ZAKŁADOWI WODOLECZNICZEMU GRODZISK NALEŻAŁ W KOŃCU WIEKU XIX DO NAJPOPULARNIEJSZYCH MIEJSCOWOŚCI UZDROWISKOWYCH

kropkę nad i, czyli wybudować dla letników hotel, pijalnię wód, restaurację, stworzyć dogodne warunki do rekreacji czy kurowania się. Dzięki Bojasińskiemu i jego Zakładowi Wodolecznicy Grodzisk należał w końcu wieku XIX do najpopularniejszych miejscowości uzdrowskich pod Warszawą. Dzisiejsze ulice Kilińskiego, Kościuszki, Bartniaka, to dawniejsza dzielnica domów letniskowych, tzw. Letniaki, a budynek Szkoły Podstawowej nr 1 nazywany „starą Jedyką” to główny pawilon sanatorium. Drugą ważną postacią jest Edward Georg Hempel, którego można na-

zwać pionierem grodziskiego przemysłu. Oto fabrykant z Niemiec, prowadzący rodzinną firmę „Chr. Hempel, Wdowa i Syn”, przebywa długą drogę i w 1882 r. otwiera fabrykę tasemek w Grodzisku. Uruchomienie tej pierwszej fabryki zapoczątkowało przeobrażenie miasta w ośrodek przemysłowy reprezentujący wiele branż, od pasmanteryjnej, przez chemiczną, po farby, smary, kafle, tarcze ściernie. Bo za nim przyszli kolejni, dostrzegając potencjał tego miejsca, niskie ceny ziemi, dostęp do siły roboczej, bliskość kolei i rynek zbytu. W ciągu dwudziestu lat mnożą się fabryki, rośnie dzielnica robotnicza ulokowana w Łąkach i na ówczesnych zachodnich przedmieściach wzdłuż rzeki Mrowni. Trzecią postacią z pantheonu zastużonych mieszkańców jest Szczepan Brozych, patron grodziskiej kultury. Jako

W CIĄGU DWUDZIESTU LAT MNOŻĄ SIĘ FABRYKI, ROŚNIE DZIELNICA ROBOTNICZA ULOKOWANA W ŁĄKACH I NA ÓWCZESNYCH ZACHODNICH PRZEDMIEŚCIACH

artysta malarz dostrzegł w Grodzisku rodzaj krajobrazowego porządku i powód zachwytu. Ten „grodziski Canaletto”, w latach 1948-1950 pełniący funkcję burmistrza, ujął w plastyczną całość przestrzeń miasta uzdrowskiego, przemysłowego i zabytkowego. Po wojnie doprowadził do powstania szeregu instytucji kulturalnych, które do dziś funkcjonują. Był typem społecznika. W tym kontekście można wymienić też Hipolita Szczerkowskiego, nauczyciela, członka OSP, uczestnika wojny 1920 roku, animatora kultury, założyciela zespołu artystycznego „Studio”, amatorskiego teatru, który wystawił przeszło dwieście premier sztuk teatralnych. To miasto jest utkane z takich miłośników Grodziska. Oni właśnie dokładali kolejne cegiełki do rozwoju miasta.

Dla Pana, rdzennego grodziszczanina, które miejsca są bliskie?

Łąki. Tu mieszkam od urodzenia. Lubię pójść na spacer po dzielnicy, na Szwedzkie Góry, do parku przy ul. Ordonu. Idąc ulicami, zastanawiam się, jak tu mogło być kiedyś i jakie zmiany spowodował czas. Na mapie Grodziska Łąki są miejscem wyjątkowym, dzielnicą, która wykietkowała z dawnej osady robotniczej powstałej w otoczeniu pierwszych fabryk i która zachowała swój niepowtarzalny charakter. Łąki wciąż się zmieniają i to także cieszy, bo widzę tu jeszcze wiele szans rozwoju.

Łąki to chyba jedyna dzielnica, która zachowała swoją pierwotną nazwę.

To swoisty fenomen, bo nazwy zwyczajowe, historyczne z czasem się zatarty. Nie ma już dzielnic: Jordanowice, Laski, Romanówek, Bogdaniec. Tymczasem Łąki pozostały, a przypomnę, że nazwę tę przywołuje w swojej książce z 1917 r. proboszcz i dziejopis grodziski ks. Mikołaj Bojanek, który nazywa Łąki osobną miejscowością.

Które miejsca poza Łąkami szczególnie Pan lubi w Grodzisku?

Poza miejscami historycznymi, takimi jak kościół św. Anny, Dworek Skarbka, Willa Foksal czy zabytkowe cmentarze, lubię obiekty pokazujące rozwój Grodziska na przestrzeni ostatnich lat. Te kamienie milowe to Centrum Kultury, Mediateka i Ratusz. Lubię odpoczywać w Parku Skarbków, na Stawach Walczewskiego czy Stawach Goliana. Te miejsca nie tak dawno jeszcze były niezbyt przyjazne, a teraz są nie tylko pięknie utrzymane, ale także chętnie odwiedzane. Peretką na tym tle jest niedawno zrewitalizowany Dworek Adama Chełmońskiego wraz z parkiem, enklawa przyrody i oaza kultury.

A czego Grodziskowi brakuje?

Powiem, o co miasto powinno się wzbogacić. W tym względzie bazuję nie tylko na swoim odczuciu, lecz także na sugestjach, które zgłaszane są przez mieszkańców: wielką wartością dla miasta byłoby odtworzenie rynku jako miejskiej agory. Miasto powinno mieć

swoje centrum, gdzie lokują się sklepy, restauracyjki, kawiarnie, gdzie raz do roku odbywa się jarmark. Takie tętniące życiem serce Grodziska. Myślę, że to marzenie spełni się w niedalekiej przyszłości.

Jest Pan autorem legend o Grodzisku.

Przeszłość tego miasta jest na tyle bogata, że rozbudza wyobraźnię. Legenda, jak mówię dzieciom na swoich zajęciach, to prawda, której doprawiono skrzydła fantazji. Służy do tego, by objaśniać zjawiska czy wydarzenia, co do których nie ma pewności historycznej, ale wyobraźnia podpowiada, że tak mogło być. Mamy ulicę Królewską, czyli znak, że tędy niegdyś jeździli królowie. Przy drodze stoi krzyż, a niedawno jeszcze biło tam źródełko. Z tych elementów powstała legenda o tym, że z grodziskiego

źródła piali przejeżdżający tędy królowie, a jeden z nich obdarował Grodzisk prawami miejskimi. Podobnie Góry Szwedzkie miały być miejscem obozowania wojsk szwedzkich, a Stawy Goliana – owocem pracy jeńców tureckich przywiezionych spod Wiednia przez dziedzica tych ziem Wojciecha Mokronoskiego. Te opowieści, przekazywane z pokolenia na pokolenie przetrwały do naszych czasów, więc grzechem byłoby ich nie przywoływać. Wciąż dochodzą nowe historie, choćby ta o duchu nawiedzającym willę Foksal czy podziemnych tunelach pod miastem. Takich legend na szczęście jest bardzo dużo, a powtarzane zaczynają później żyć własnym życiem. Sam jestem ciekaw, jakie jeszcze tajemnice i opowieści skrywa historia Grodziska Mazowieckiego.



REMIGIUSZ MAKOWSKI

ur. 1951



hodowca koni, właściciel stadniny w Oypach

Mało kto wie, że w podgrodziskich Oypach znajduje się jedna z największych w Polsce prywatna stadnina koni. To dobre miejsce na taką działalność?

Grodzisk nadaje się do takiej hodowli, dlaczego nie? Oczywiście część moich koni jest w drugiej stadninie na Mazurach.

Często Pan odwiedza miasto?

Jeżdżę codziennie. Choćby do sklepu po buteczki czy na targ po zakupy. Ja tu mam wszystko. Jak ktoś pyta, dlaczego gdzieś nie jadę na wczasy, to odpowiadam, że jak mi tu się znudzi, to jadę na Mazury. Ja wczasy mam zawsze – żyję w otoczeniu natury. Nie jest tak, że chciałbym siedzieć w parku w Grodzisku czy przy Centrum Kultury. To jest nierealne, bo jestem przyzwyczajony, że muszę mieć luz. Nie znoszę i nie lubię ciasnoty. Moim zdaniem otoczenie musi uspokajać.

A jakie są atuty Grodziska?

Grodzisk to sympatyczne miasto. Powiedziałbym nawet, że coraz sympatyczniejsze i sporo miast ościennych wyprzedził. Inni stanęli. To też inicjatywa ludzi. Zastęgi ma na pewno na pewno obecny burmistrz, to nie ulega żadnej wątpliwości. Za moich dziecinnych lat chyba ważniejsze było Błonie.

Dlaczego wybrał Pan Grodzisk?

Zaczął się przez przypadek. Tutaj było typowe gospodarstwo szklarniowe z hodowlą kwiatów. Ono splajtowało na początku lat dziewięćdziesiątych. Przywiozłem córkę ówczesnego właściciela, bo poprosił mnie o to mój szwagier, który był aktualnym mężem byłej żony właściciela. Trochę skomplikowane, ale tak właśnie było. Akurat pozbyłem się części gospodarstwa w Warszawie, prowadziłem firmę handlową i w rozmowie z właścicielem od słowa do słowa dowiedziałem się, że to gospodarstwo jest już zadatkowane. W dokumentach nie było dat i właściciel był trzymany

w szachu przez potencjalnego nabywcę, który trzymał go zadatkiem, a nie kupował. Dzieciom się tutaj spodobało a żona mówiła, że zwariowałem, bo znowu będę się bawił w gospodarstwo. Pomogłem wybrnąć właścicielowi z tego zadatku i kupiłem gospodarstwo. To był 1992 rok i wszystko wyglądało całkiem inaczej. Były dęby, aleja drzew, sad, trzy szklarnie, które zamieniłem w stajnie, i stara stodoła, która należała jeszcze do pana Englerta, warszawskiego przedwojennego restauratora.

Znał Pan jednak Grodzisk wcześniej.

Przyjeżdżałem z rodzicami po mięso, wędlinę w środy na targ. To było raptem 30 km

GRODZISK TO SYMPATYCZNE MIASTO. POWIEDZIAŁBYM NAWET, ŻE CORAZ SYMPATYCZNIEJSZE I SPORO MIAST OŚCIENNYCH WYPRZEDZIŁ. INNI STANĘLI

z Warszawy. To były lata pięćdziesiąte i tego nie można było w sklepie dostać, co najwyżej na bazarze, a ten najsensowniejszy był właśnie w Grodzisku.

Kiedy pojawiły się tutaj konie sportowe?

To był bodajże 1995 rok. Moje dzieci wtedy uczyły się jeździć konno u mojego brata ciotecznego. Pojawił się jeden konik i drugi i tatuś też wsiąkł. Obie córki jeżdżą na koniach, jedna zawodowo – Marzena Chętkowska. Zięć również jeździ. Przez dwadzieścia pięć lat jeździłem rok w rok do Niemiec, żeby wiedzieć co się dzieje na rynku, jakie są trendy i moda. Kupiłem więcej ziemi także od PGR-u w Książenicach.

Jest jakaś magia w koniach?

To rodzaj choroby psychicznej! I to nie dzieje się tylko w Polsce. Tak też dzieje się na

świecie. Tak jest też w Niemczech. Hodowla koni się nie optaca. Trzeba na to mieć, żeby dokładać na to w wielu momentach. Moja córka skończyła dziennikarstwo, ale pochłonęły ją konie. Koń ma ładunki, które są szalenie korzystne dla człowieka i dlatego przebywając z nimi czujemy się dużo lepiej. Koń i pies to najlepsi przyjaciele człowieka.

Konie to nie jedyne zwierzęta w gospodarstwie.

Bez zwierząt nie umiem żyć. Jeszcze w warszawskim gospodarstwie był taki moment, że nie było żadnego psa, bo jeden zachorował na tyfus. Było to niebezpieczne, więc nie było jakiś czas następnego. Wszystko trzeba było poodkazać i dopiero po czterech miesiącach był następny pies. Bo głupio tak

KOŃ MA ŁADUNKI, KTÓRE SĄ SZALENIE KORZYSTNE DLA CZŁOWIEKA I DLATEGO PRZEBYWAJĄC Z NIMI CZUJEMY SIĘ DUŻO LEPIEJ. KOŃ I PIES TO NAJLEPSI PRZYJACIELE CZŁOWIEKA.

bez psa. Człowiek wychodzi na podwórko, a tu nikt się nie odezwie. W Opypach zastanę już psy bokserzy. A wtedy przyjeżdżałem z Warszawy z dwoma owczarkami niemieckimi. Miałem takiego psa numer jeden, który sprawdzał pracowników. Jak murarz murował stajnię, to jego pomocnik mógł być na dole, ale murarz nie mógł schodzić na dół, tylko musiał pracować. Owczarków można nie szkolić, one są bardzo mądre i z czasem bez szkolenia wiedzą, czego człowiek od nich oczekuje. Teraz mam między innymi Bajkę, ona kocha ludzi. Przybłąkała się do majątku mojego przyjaciela, który już nie żył. Ówczesna właścicielka nie miała co z nią zrobić, zadzwoniła i ją wziąłem. To prawdopodobnie owczarek szwajcarski albo typowy albinos owczarka niemieckiego.

To ile zwierząt przewinęło się przez gospodarstwo w Opypach?

Trudne pytanie. Samych koni przewinęło się ładnych parę setek. Obecnie kładzie się w Opypach, kiedyś żrebiły się również na Mazurach. Podczas wyźrebienia zawsze są pilnowane, mimo że teoretycznie kładz sama się żrebi. My zawsze pomagamy podczas porodu, aby w razie trudności pomóc. Przyjście na świat źrebaka zawsze jest wielką radością.

Są w Opypach konie, do których ma Pan szczególny sentyment?

Wiele jest takich. Największy sentyment mam do tych, które robią karierę sportową. Jerico, ogier skoczek był tu trenowany w Opypach i tu rozpoczął karierę. Teraz chodzi pod wielokrotnym mistrzem Polski, jest numerem jeden w polskich koniach w rankingu światowym. Córka ma takiego niesamowitego konia z hodowli niemieckiej, koń dresarzowy, czyli jak potocznie się mówi – koń, który tańczy, szykuje się na ogromną karierę. I on jest tu w stajni w Opypach. Nazywa się Quo Vadis. Wybitne konie oprócz zdolności do określonej dyscypliny jeździeckiej muszą mieć psychikę, która pozwala im na ciężki trening. Świetne konie i dobry jeździec gwarantują osiągnięcia sportowe.



TOMASZ SIWIEC

ur. 1964



architekt, ukończył Politechnikę Warszawską

Jak to się stało, że Pana prababka Konstanca Chmielewska, dla której została wybudowana willa Niespodzianka, trafiła do Grodziska?

W sposób bardzo prosty. Bardzo ważną rolę odgrywała rodzina Kobylińskich, bo Kobyliński był pracownikiem Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, a Antoni Chmielewski, mój pradziadek, również. Rodzina Kobylińskich już mieszkała w Grodzisku. Antoni był birbantem, miał w młodości nieślubne dziecko, i rodzina uznała, że trzeba go ożenić z silną kobietą. A taką była moja prababcia Konstanca, osoba sześć lat od niego starsza, bardzo nerwowa. Dlatego przyjechali do Grodziska, bo tu był zakład Bojasińskiego, który zajmował się m.in. leczeniem nerwic. Przyjeżdżali z Warszawy rok w rok, na czas pobytu wynajmując tzw. letniaki, czyli domy dla wczasowiczów na terenie zakładu. Bratem Konstancji był Józef Moszyński, który mieszkał i pracował w Petersburgu jako architekt rządowy na stanowisku tajnego radcy dworu. Prawdopodobnie dzięki ojcu studiował architekturę w Petersburgu. Józef nie miał własnej rodziny, ponieważ jego wielka miłość, Rosjanka, była prawostawna i nie mogła wyjść za Polaka będącego katolikiem. Poświęcił się więc siostrze i jej rodzinie oraz swojej matce. I właśnie dla siostry i matki zaprojektował i wybudował w Grodzisku willę Niespodziankę. Józef w willi zostawił dla siebie pokój z balkonem w szczycie na piętrze budynku. Przyjeżdżał tu często, bo było bardzo dobre połączenie kolejowe z Petersburgiem. Codziennie też pisał listy z Petersburga do matki, do Grodziska. Męczył go klimat Petersburga, o czym wspominał w korespondencji. Te listy są w naszym posiadaniu, ale ja ich wszystkich jeszcze nie przeczytałem. W jednym z nich Józef pisze, że przesyła lustro i nie chce, żeby jakieś „ciury” czy „patałachy” grodziskie je pottukły. Ale on ten Grodzisk polubił. Bardzo przeżywał, gdy Izdebski postawił fabrykę vis-à-vis Niespodzianki, w tym miejscu, gdzie dziś przy Spółdzielczej stoi Centrum Kultury. Rodzina Chmielewskich, wcześniej, w XIX

wieku, strasznie się przemieszczała, ale kiedy powstał dom w Grodzisku, to wyjazdy w inne miejsca się skończyły, bo Grodzisk stał się świętym miejscem. Musiał być jakiś urok tego miasta.

Czy to prawda, że podczas pogrzebu Józefa Moszyńskiego w Grodzisku w 1914 roku drogę na cmentarz wyścietano dywanami?

Tak. On był wysokiej klasy carskim urzędnikiem. Jego dziełem życia był piękny obiekt Zakładu Psychiatrycznego w Siworicach koło Petersburga. Wraz z lekarzem, Piotrem Kaszczenką, który był sławą rosyjskiej nowoczesnej psychiatrii, dopracowali wzorcowy model takiego szpitala. Józef zachorował na nowotwór żołądka i na dwa tygodnie przed śmiercią postanowił, że chce umrzeć w Grodzisku. Pisał listy do domu już dwa razy dziennie. Przyjeżdża z Petersburga i niedługo potem umiera w willi Niespodzianka. Jeżeli ktoś chce umrzeć w tym miejscu i wie, że tam będzie pochowany, to znaczy, że musiał się czuć bardzo związany z tą miejscowością. To wszystko dzieje się na chwilę przed I wojną światową.

I tu zaczyna się kolejny rozdział perturbacji rodzinnych.

Za dwa tygodnie na zawał umiera Antoni Chmielewski. Widzi, co się dzieje, wie, że z pensji urzędniczej nie utrzyma domu w Gro-

**JÓZEF MOSZYŃSKI (...)
WŁAŚNIE DLA SIOSTRY
I MATKI ZAPROJEKTOWAŁ
I WYBUDOWAŁ W GRODZISKU
WILLĘ NIESPODZIANKĘ**

dzisku. Willa jest niespełna, bo Moszyński nie był aż tak zamożny i wziął kredyt od dalekiego kuzyna, Stefana Kraskowskiego, na połowę inwestycji. Seweryna, najstarsza z córek Antoniego i apodyktycznej Konstancji, wyszła za mąż za profesora Morozowa, dalekiego kuzyna. On tu przyjeżdżał do Grodziska i nawet

jest takie zdjęcie jak stoi jako student z rowerem przed Niespodzianką. I to małżeństwo nie miało problemu, gdy wybuchła I wojna, bo byli bogaci. Ale byli jeszcze siostry Seweryny: Maria, Ewa, moja babcia Anna i dwóch braci. Gdy w sierpniu 1915 roku niemiecka ofensywa dociera do Grodziska, uciekają do Rosji, bo tam

GRODZISK BYŁ WAŻNYM OŚRODKIEM. DZIADEK CHODZIŁ TU DO SZKOŁY. TU JEŹDZIŁO SIĘ W ŚRODY NA TARG, ZAŁATWIAŁO SIĘ SPRAWY URZĘDOWE, BYŁA TEŻ STACJA KOLEI.

prababcia miała pełno kontaktów związanych z jej bratem. To była całkiem racjonalna decyzja. Mieszkali tam w dobrych warunkach do rewolucji. Później tułali się po dworach. Jest taka opowieść rodzinna, że z za grobu opiekował się nimi Józef Moszyński. O tym pisze moja babcia w pamiętniku. Byli w jakimś młynie. W pewnym momencie pojawia się ręka w kraciastej marynarce w drzwiach i pokazuje, żeby wychodzili. Jeżeli w to wierzyć, to znaczy, że ich ochronił, bo w młyn uderzyły pociski, a budynek spłonął. Rodzina wraca w 1918 roku do Grodziska. Muszą mieszkać na Konradowie przy Plantowej, gdzie wynajmują drewniany dom, dziś już nieistniejący. Willa Niespodzianka była zajęta przez dzikich lokatorów, więc próbowali ją odzyskać. Dodatkowo podczas nieobecności, żołnierze niemieccy kwaterujący w willi pozostawili liczne ślady zniszczeń w postaci opalonych mebli. Najprawdopodobniej palili ogniska na podłogach lub w żeliwnych piecykach – kozach najzupełniej nie przejmując się wyposażeniem. Najszybciej wprowadziła się do Niespodzianki Konstancja, bo wytargowała pokój na górze. Nie można było odzyskać reszty, bo trzeba było spłacać kredyt i to prawdopodobnie spowodowało, że wynajęto dom rodzinie felczera Fejdlicha. Pod nieobecność Chmielewskich, oprócz zniszczenia, willa została okradzona. Konstancja po powrocie chodziła po Grodzisku i odzyskiwała co się

dało. Później cała rodzina przeprowadza się do oficyny koło Niespodzianki. Ten budynek został zaprojektowany przy okazji budowy Niespodzianki jako źródło dochodu, który miał pracować na spłatę długu. Rodzina w latach trzydziestych sprzedaje Fejdlichom willę i tym samym spłaca dług. We wspomnianej oficynie mieszka mój dziadek Jan Siwiec z Anną i dwójką dzieci. To były piękne mieszkania, ale bez toalet. Tak wtedy mieszka sześćdziesiąt procent ludzi w centrum Grodziska. Konstancja zmarła w 1946 roku. Przed wojną wyniosła się z mieszkania na piętrze obok wieży w Niespodziance, bo było ciężko jej tam wchodzić. Zamieszkała w oficynie razem

z najmłodszą córką. Ciekawostką były listki, które cały czas były przekazywane między ul. Kościuszki 12 a ul. Obożną w Warszawie, gdzie mieszkała najstarsza córka. Taki był powszechny zwyczaj. Wszyscy pisali krótkie listy i przekazywali je poprzez znajomych adresatom. Można by rzec, że to były takie analogowe SMS-y. Mąż Seweryny zmarł i w pewnym momencie siostry mieszkały we trzy na Obożnej. W sierpniu w 1939 roku Seweryna przyjechała do Grodziska na wakacje do mamy i tu już została, bo zaraz wybuchła wojna. Na dom w Warszawie spadły bomby i nie miała gdzie wracać. Potem, po Powstaniu Warszawskim, dwie siostry – panny też wróciły do domu na Kościuszki. Tu też mieszkały dzieci moich dziadków Jana i Anny, czyli mój wujek Antoni zwany Acisiem i Andrzej, mój ojciec – zwany Jędrkiem. Po powstaniu to miejsce stało się punktem odniesienia dla wszystkich, gniazdem rodzinnym.

Pana dziadek, Jan Siwiec, pochodził z Wólki Brzozokalskiej, czyli dzisiejszego Adamowa koło Kukłówki. Jakie drogi zaprowadziły go do Grodziska i... do serca Anny Chmielewskiej?

Grodzisk był ważnym ośrodkiem. Dziadek chodził tu do szkoły. Tu jeździło się w środy na targ, załatwiano sprawy urzędowe, była też stacja kolei. Młody oficer Jan Siwiec

po zakończonej wojnie bolszewickiej przyjeżdżał tu czasami wraz z kolegami z Modlina i z Zambrowa na wieś. Któregoś razu prawdopodobnie załatwiał jakieś sprawy związane z demobilizacją w magistracie na Kościuszki. I tak się stało, że z okienka urzędu przyglądała mu się panienka – najmłodsza córka Konstancji Chmielewskiej, Anna. Wtedy podporucznik z zakreconym wąsikiem miał lat trzydzieści. A babcia jako 23-letnia pannica właśnie pracowała w magistracie. Mam takie zdjęcie, gdzie jest obecna z innymi urzędnikami na tle carskiego budynku przy Kościuszki, gdzie jeszcze niedawno miało siedzibę obecne starostwo. To była burzliwa miłość panny z Grodziska ze zubożałej arystokracji i gospodarskiego syna, kawalera z parafii w Radziejowicach. Był to okres ogólnej powojennej biedy i szalejącej już inflacji. Ojciec Jana, Kazimierz chorował, gospodarstwo podupadało i wymagało inwestycji. Bardzo skromny ślub odbył się w kościele św. Krzyża w Warszawie w bocznej kaplicy M.B. Częstochowskiej. Właśnie tam, bo Seweryna, najstarsza siostra Anny, przy Obożnej miała mieszkanie, gdzie można było zrobić przyjęcie weselne. Chwilę potem dziadek dostał pracę w „Rolniku Suwalskim” i oboje wyjechali do Suwałk. Babcia zaszła w ciążę i w 1923 r., na poród wróciła do Grodziska.

A dziadek?

On już w gimnazjum, przed 1912 rokiem mieszkał w Grodzisku na tzw. stacji, a na stałe sprowadził się w 1923 roku wraz z żoną. W Grodzisku mieszkał do 1961 roku i tu w mieszkaniu na Kościuszki 12 zmarł na białaczkę. Tu też Jan Siwiec miał biuro poselskie i stąd codziennie dojeżdżał kolejką do Warszawy.

Przenieśmy się zatem do rodzinnego domu Jana Siwca, a więc do Wólki Brzozokalskiej koło Kukłówki.

Ogród przy ul. Brzozokalskiej w Adamowie Wsi, to dawne siedlisko, które zostało założone około 1866 roku, kiedy po Powstaniu Styczniowym

weszła carska reforma administracyjna. Wtedy wytyczano nowe wsie, porządkowano ulice i numeracje. To była konieczność polityczna, bo car zdawał sobie sprawę że bez reform nie utrzyma imperium. Tak powstał właśnie Adamów. Wcześniej była tu Wola Brzozokalowa. Najstarsze podanie o wsi jest z 1579 roku, kiedy Stefan Batory zaczął spisywać wsie, z których mógł zaciągać żołnierzy. I wiemy, że były tu dwa dymy, czyli dwa domy z kominami. Ta Wola była w środku Puszczy Jaktorowskiej. Na najbliższym terenie były: Radziejowice, Wola Brzozokalowa, Budy, Kukłówka i Grodzisk, a reszta to knieja. Nie było tu tyłu miejscowości. Dopiero po Powstaniu Stycz-

RODZINA W LATACH TRZYDZIESTYCH SPRZEDAJE FEJDLICHOM WILLĘ I TYM SAMYM SPŁACA DŁUG. WE WSPOMNIANEJ OFICYNIE MIESZKA MÓJ DZIADEK JAN SIWIEC Z ANNĄ I DWÓJKĄ DZIECI

niowym zaczęto wycinać lasy i wytyczać wsie. I ta wieś otrzymała nazwę Adamów, bo pomiędzy Wólką a Radziejowicami był folwark Adamów należący do Krasińskich. To wieś młodziutka, bo ma około 150 lat. A Wólka była wsią starą zlokalizowaną na środku obecnej wsi. Tu zaczęła się historia Siwców. Oni gdzieś na początku XIX wieku, przybyli ze Żmudzi. Przodek będąc łowczym na dworze Krasińskich w Radziejowicach otrzymał ziemię we wsi. Jego zadaniem było organizowanie polowań i dbanie o zwierzynę w puszczy, m.in. musiał robić przerebę na Pisi Tucznaj, aby nie wyzdychały ryby, walczył też z bobrami. A dlaczego to była Wola? Bo tam gdzie była Wola i Wólka, to było zwolnienie z pańszczyzny, bo król dał taką wolę, ale były inne zobowiązania. I ten łowczy otrzymał tu bardzo dobrą ziemię i tu gospodarował. Tu urodził się jego syn Mateusz. Podczas wspomnianej wcześniej carskiej reformy administracyjnej przeprowadzono komasację wsi. Geodetę przekupili jacyś gospodarze i Walentego, syna Mateusza,

wnuczka owego łowczego, ponoć oszukano i dano mu gorszą ziemię nad rzeką. Ja podejrzewam, że on nie był tak naiwny, żeby dać się oszukać, za to miał naturę romantyka i jemu w tym miejscu bardzo się podobało. U Siwców było tak, że mężczyźni byli kształceni, nie pito wódki w dużych ilościach i nie było dzielenia gospodarstwa. Robiono tak, aby spta-

tą obręcz przenoszącą, poprzez skórzany pas transmisyjny, napęd na maszyny rolnicze. Dzięki temu połowa prac wykonywana była mechanicznie. To uprzemysłowienie nastąpiło w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku. Wodę brano z rzeki Pisi Tucznej, którą zasilaty wypływające ze zbocza rzeki liczne źródła. Studnie na wsi były bardzo poważnym problemem. Ludzie mieli kopane studnie z wodą podskórną i do niej dostawały się gnojowice, dlatego powszechne były epidemie różnych chorób. Tu rosty, obecne do dzisiaj dęby. Mówi się, że są to ostańcy Puszczy Jaktorowskiej. W ogrodzie są już tylko dwa, ale bardzo okazałe. Kilka innych roślin na obecnych działkach rekreacyjnych, wytyczonych na polach dawnego gospodarstwa Siwców. Te na zboczach rzeczki nikomu nie przeszkadzały. Walenty

Siwiec poszedł do Powstania Styczniowego i jego żona Katarzyna nosiła do lasu radziejowickiego posiłki. Jego syn Kazimierz Siwiec należał do Grodzkiego Towarzystwa Rolniczego. Stosował już w rolnictwie nawozy sztuczne, a to była nowość przed pierwszą wojną. Wtedy Polska dla Rosji była zapleczem przemysłowym i intelektualnym, a Warszawa była trzecim co do wielkości miastem w Imperium.

Siwiec poszedł do Powstania Styczniowego i jego żona Katarzyna nosiła do lasu radziejowickiego posiłki. Jego syn Kazimierz Siwiec należał do Grodzkiego Towarzystwa Rolniczego. Stosował już w rolnictwie nawozy sztuczne, a to była nowość przed pierwszą wojną. Wtedy Polska dla Rosji była zapleczem przemysłowym i intelektualnym, a Warszawa była trzecim co do wielkości miastem w Imperium.

W tym domu w Adamowie przez pewien czas II wojny światowej wychowywał się Pana ojciec Andrzej.

Mój ojciec miał iść do gimnazjum, ale wybuchła II wojna. W Grodzisku Niemcy zamknęli szkołę. Jędrzek trafił więc do Wólki Brzozokalskiej – Adamowa i miał piękny rok na wsi u babci chłopki. Była taka historia, że mógł zginąć, bo chodził z kompasem i mapą po okolicy. Na drodze zatrzymał go patrol żandarmerii niemieckiej i ojca uratował sottys Adamski. Niemiec dał się przekonać, ale na „pożegnanie” przyłożył ojcu szpicrutą w twarz. Mój ojciec chciał należeć do konspiracji, ale jego ojciec Jan Siwiec zdecydował, że nie. Uznał, że jeden z synów musi przeżyć. Jego brat Antek, pod-

KIEDY W LATACH 70. XX WIEKU WPROWADZONO NOWY PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY I POWSTAŁO WOJEWÓDZTWO SKIERNIEWICKIE, LUDZIOM BYŁO STRASZNIE ŻAŁ, ŻE ZOSTALI OD GRODZISKA ODŁĄCZENI

ciąć pozostałych i żeby jeden z synów został na gospodarstwie. Dlatego nasze gospodarstwo było duże. Niestety reszta wsi dzieliła gospodarstwa i to oraz słabe ziemie były przyczyną biedy. Siwcowie gospodarzyli bardzo rozsądnie, światło i dobrze pilnowali wszystkiego. O to, by było dużo drobiu, dbała każda Siwcowa, bo dzięki temu miała na szkołę, buty i bieżące wydatki dla dzieci, a Siwiec uprawiał pole, hodował krowy i to szło na inwestycje.

Kiedy w latach 70. XX wieku wprowadzono nowy podział administracyjny i powstało województwo skierniewickie, ludziom było strasznie żal, że zostali od Grodziska odłączeni.

W tym pięknym miejscu koło Kukłówek powstało wasze gospodarstwo.

Pierwszy dom się spalił ok. 1892 roku. Drugi dom postawiono w tydzień przy udziale wszystkich mieszkańców wsi. Taki był zwyczaj, że pogorzelcom pomagali sąsiedzi. Nowy dom był drewniany z bali, tzw. wieńcówka. Trzyizbowy ze spichlerzem. Stodoła i obora z sosen ciętych przez traczy. I to było typowe gospodarstwo. Na tyłach stodoły był kierat. To była wtedy nowość i wygodna rzecz. Koń dostał owies, chodził w koło przypięty do dyszla obracającego stalową zęba-

chorąży „Moszyński”, już należał do grodzkiego zgrupowania Gąbka – Osa, a potem trafił do Warszawy. Zaginał w walce w pierwszej godzinie, pierwszego dnia Powstania Warszawskiego podczas ataku na koszary SS przy Górnośląskiej. Ciało nigdy nie odnaleziono.

Jednak sam Jan Siwiec był zaangażowany w działalność Państwa Podziemnego w czasie II wojny światowej. W domu w Wólce Brzozokalskiej była baza dla przyjęcia zrzutu Cichociemnych.

Dziadek Jan Siwiec w czasie II wojny był związany z Delegaturą Rządu na Kraj. Dostarczał dużo żywności do Grodziska do Rady Główniej Opiekuńczej. W Adamowie rozwinął produkcję warzyw na nasiona i nie tylko. Wtedy złożono mu propozycję, aby zrobić tu bazę wypadową. Placówka odbiorcza Solnica, czyli zrzutowisko, rozciągała się na linii Książenice – Osowiec. Trzeba było ukryć sprzęt ze zrzutów, to było całe logistyczne przedsięwzięcie. I u dziadka zrobiono bazę. Akowcy mieli półciężarówkę, a radiostację ustawili w chacie. Był przygotowany ogromny dół. Na specjalnym stelażu był położony śmierdzący kompost. Jak przewieziono sześć dużych pojemników z bronią i materiałami wybuchowymi, kontenery zostały przykryte tym stelażem, a kompost zlano wodą, aby miał odpowiedni wygląd. W chacie nocowała Elżbieta Zawacka i dwóch Cichociemnych. Reszta z obstawy była w stodole. Zanim to wszystko się tu wydarzyło, to oczekiwanie i nastuchowanie przez radiostację trwało trzy dni. Jak samolot wystartował spod Londynu, to oznaczało sześć godzin lotu. Na łąkach były już przygotowane ogniska przez akowców z obstawy. Z kolei wszystkie wyloty dróg były obstawione przez lokalnych członków AK. Zrzut był na polach między folwarkiem Osowiec a folwarkiem Chawtowo. Niemcy mieli jednostkę do tropienia zrzutów, tzw. Uberfallkommando, ale mało skuteczną. Z samolotem nawiązywana

była łączność przez krótkofalówki, ale czasem to nie działało. Samolot leciał bez świateł wzdłuż Wisty. To był samotny lot bez obstawy. Jak zobaczyli ogniska, to przelatywali, robili okrążenie, potwierdzali i nawracali. Dopiero wtedy robili zrzut. Była przygotowana półciężarówka i furmanki dziadka. Te zrzuty były tak głęboko zakonspirowane, że na wsi nie wiadomo, że obok odbywa się taka operacja. Po wszystkim trzeba było spalić spadochrony, linki, pasy, ukryć zasobniki blaszane. Za wykrycie tych przedmiotów można było zostać rozstrzelanym na miejscu lub wystanym do Oświęcimia. Jak tu skakali Cichociemni, to z tych 200 metrów krzyczeli hasło „Janek”. Takie miejsce jak to, było jednym z kilkuset i ze względu na konspirację nie wolno było miejsc zrzutu powtarzać. Wszystko trzeba było przepakować. Dolary były przypięte do pasów spadochroniarzy. Ta trójka Cichociemnych pojechała elegancką bryczką młynarza Wasilewskiego, zaprzęgniętą w konie Siwców, na dworzec do Grodziska. Niemcy nie tak często zatrzymywali eleganckich ludzi. Oni mieli walizki z najważniejszymi dokumentami, pocztą kurierską i pieniędzmi. Dwa dni później wyjęto zasobniki z tych kompostowników i przepakowano do walizek, a następnie wieziono do Grodziska

PLACÓWKA ODBIORCZA SOLNICA, CZYLI ZRZUTOWISKO, ROZCIĄGAŁA SIĘ NA LINII KSIĄŻENICE – OSOWIEC. TRZEBA BYŁO UKRYĆ SPRZĘT ZE ZRZUTÓW, TO BYŁO CAŁE LOGISTYCZNE PRZEDSIĘWZIĘCIE. I U DZIADKA ZROBIONO BAZĘ.

i potem na pociąg. Mój ojciec nastolatek brał w tym udział. Następnego dnia, po przepakowywaniu, ojciec odprowadzał na stację tych chłopaków, którzy robili obstawę zrzutu. Z ich rozmów wynioskował, że to prawdopodobnie oni wcześniej brali udział w słynnej akcji „Góra” w Warszawie. Moja rodzina po akcji zrzutu Cichociemnych musiała się natychmiast ukrywać i, co ciekawe, w mojej rodzinie wiele osób o tym nie

wiedziato. Jan Siwiec ukrywał się przez rok na ul. Raszyńskiej u siostry i tam spotkał się z Rolą-Żymierskim, który go próbował ściągnąć do komunistycznego rządu. Dziadek rozmawia, ale kategorycznie odmawia, bo się zorientował, że byłby tylko listkiem figowym. Mój ojciec ukrywa się w Żelazowej Woli jako ogrodnik i tam właśnie „zaraził” się zielenią. Tam też nauczył się podstaw projektowania zieleni od samego profesora Krzywdy-Polkowskiego i arch. Aliny Szoltz. Babcia też się ukrywała – u pani Lewickiej, potomkini Romana Żulińskiego, członka Rządu Narodowego w czasie Powstania Styczniowego. Do Wólki wszyscy zjechali przed Powstaniem Warszawskim, bo Niemcy byli już zajęci innymi sprawami. W czasie gdy Siwców nie było, gospodarstwo było rabowane przez partyzantkę komunistyczną.

Dlaczego Niemcy dziadka nie aresztowali?

Jako oficer rezerwy najpierw miał się meldować codziennie na posterunku żandarmerii w Grodzisku. O tym obowiązku meldowania się przez rezerwistów wspomina też Stanisław Rembek w swoich pamiętnikach. Potem co tydzień. Kiedy zorientowali się, że on ma gospodarstwo i produkuje żywność, dali mu spokój. Starszy syn Antoni zrobił mu papiery, że Jan Siwiec to pracownik gospodarstwa rolnego w Wólce Brzozokalskiej i Niemcy na to się nabierali. Na tym dokumencie była gapa, którą, za tąpówkę, przystawił landrat z Sochaczewa.

A Pan mieszkał kiedyś w Grodzisku?

Tak. Kiedyś, jak miałem sześć lat, i tylko kilka dni u ciotki Chmielewskich w tym zburzonym już domu, koło willi Niespodzianka. Było to dla mnie duże przeżycie. Pomimo iż mieszkaliśmy w Warszawie Grodzisk wydawał mi się dużym miastem. Ogromne wrażenie na mnie robił duży niebieski neon na Sienkiewicza. No i atmosfera mieszkania na Kościuszki. Choć to była oficyna, ale stare meble, bijący zegar, pachnące pastą do podłogi parkiety, kafłowe piece i stare fotografie. I ciocie, siostry babci. Wszystko duże i jakby z innej epoki. A ja mieszkałem w małym gomutkowskim M3.

Co Pana zdaniem powinno być w Grodzisku upamiętnione?

Stanisław Rembek. Nie ma drugiego pisarza, który opisałby Grodzisk w literaturze. O nim

się zapomniało, bo komuniści chcieli go wymazać. Rembek to nasz grodziski Tyrmand, jego „Dziennik” jest genialny. Chciałbym, żeby też mój dziadek, Jan Siwiec, miał jakąś skromną uliczkę w Grodzisku, bo uważam, że jest to lokalny lider i takich ludzi trzeba upamiętniać. Dlatego eksponujemy w historii tego miasta tzw. lokalsów, którzy byli, działali i coś przekazywali swoją pracą. Marek Cabanowski pisał książki popularno-naukowe i gdyby nie te prace, to mielibyśmy tu wielką lukę informacyjną. Jego też należy upamiętnić. Inż. Józef Potyński, ojciec Andrzeja, to osoba, która powinna być natychmiast upamiętniona. Przed wojną współtwórca pierwszego polskiego pistoletu maszynowego „Mors”. On był konstruktorem w Fabryce Karabinów Maszynowych. Podczas okupacji niemieckiej w jego domu na Kilińskiego 7 częstym gościem był syn dyrektora tejże fabryki, Aleksander Dawidowski „Alek” z „Kamieni na szaniec”. W Chlewni przebywał znany XIX-wieczny malarz realista Julian Ejsmond.

W „Pamiętnikach” generała Jerzego Kirchmayera czytamy, że przez jakiś czas mieszkał w Chawłowie i był aresztowany przez Rosjan, potem trzymany w Grodzisku w więzieniu, bo był obywatelem austriackim. Stąd potem został wysłany w głąb Rosji. Barbara Wachowicz w „Wiernej rzece harcerstwa” opisuje pobyt Tadeusza Zawadzkiego „Zośki”, który po akcji pod Arsenatem ukrywał się w dworku mjr. Chlebka w Radoniach. Rektor Politechniki Warszawskiej Józef Zawadzki załatwił kryjówkę na Szczęsnem. W 1943 roku Tadeusz Zawadzki „Zośka” pisze tutaj o koleżankach i kolegach z Szarych Szeregów oraz o śmierci „Alka” i „Rudego”. Na podstawie tego stworzono genialną literaturę: Aleksander Kamiński napisał „Kamienie na szaniec”. W majątku Radonie, tym razem we dworze, jesienią 1939 roku, ukrywa się u swojej ciotki Chrzanowskiej gen. Stefan „Grot” Rowecki. Te wszystkie wydarzenia też powinny być upamiętnione.

A jaki jest dla Pana Grodzisk?

To takie dziwne miasto, bo ono jest stare z rodowodem, lokowane na prawie magdeburskim. Rozwijało się powolutku. Było takie kameralne, a nawet było półwsią. Rynek też się nie ukształtował tak jak w innych miastach, bo jest podłużny, a powinien być kwadratowy. A teraz naprawdę jest to metropolia, ale nie ma tzw. szwungu. Ja Grodzisk bardzo lubię. I myślę,

że związek Grodziska z Wólką Brzozokalską jest bardzo silny. Uwielbiam do Grodziska przyjeżdżać. Jestem z tym miejscem bardzo związany. Tu coś mnie ciągnie. To są takie powidoki grodziskie, czyli kadry wspomnień, których już nie ma. Ja to widzę ze zdjęć, ze wspomnień z dzieciństwa z opowiadań cioci i ojca. To zjawisko, o którym pisał Marek Nowakowski. W Grodzisku dla mnie na szczęście są widoki jeszcze niezmiennie lub

zmienione w sposób pokazujący nawarstwienia, czyli kościół, cmentarz, dworzec, fragmenty ulicy Kilińskiego, 3 Maja czy rynek.

Czego mi najbardziej brakuje w Grodzisku?

Brakuje mi prawdziwego muzeum miejskiego, takiego, jakie mają podrzędne miasta w Holandii czy w Niemczech.



WIOLETTA MILCZUK

ur. 1975



kierownik baletu Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze”, absolwentka Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie oraz Uniwersytetu Warszawskiego

Jak została Pani mieszkanką Grodziska Mazowieckiego?

Piętnaście lat temu wraz z mężem i dzieckiem mieszkaliśmy w Otrębusach, w Karolinie – na terenie zespołu „Mazowsze”. Było to mieszkanie służbowe i zaczęliśmy poszukiwać czegoś dla rodziny. Na pewno nie chcieliśmy mieszkać w Warszawie, bo mimo swojego ogromnego potencjału stolica niczym nas nie ujęła, nie zrobiła wrażenia miejsca, gdzie chcielibyśmy żyć. Grodzisk był po sąsiedzku i był kontynuacją mieszkania w okolicy. Tak naprawdę szukaliśmy miast podobnych do tych, z których pochodzimy. Ja wychowałam się w Dreżdenku, cztery razy mniej od Grodziska.

W okolicy jest więcej małych miasteczek.

Kierunek: Pruszków, Warszawa jakoś nas odstręczała. Podobnie naszych znajomych z zespołu, którzy w tamtym czasie także poszukiwali swojego miejsca na ziemi. Bardziej podobało nam się na zachód od Otrębus. Ta okolica jest znacząca historycznie, kulturalnie, przyrodniczo i topograficznie. Podobały nam się i Podkowa Leśna, i Milanówek. Ale to Grodzisk przypominał mi trochę rodzinne miasteczko.

To zdecydowało?

Były również inne czynniki. Przede wszystkim bliskość do „Mazowsza”. Ważna też była infrastruktura dla młodej rodziny. Jest tu wiele możliwości edukacyjnych dla dziecka, pełna oferta kulturalna, basen, kino, szpital i szkoła muzyczna. Pełna kompilacja instytucji potrzebnych do życia i rozwoju. Do tego piękny park. Gdy wybieraliśmy to miejsce, jeszcze nie wiedziałam, że powstaną w takim kształcie nasze ukochane Stawy Walczewskiego. Byliśmy jednym z pierwszych „mazowszańskich” małżeństw, które zamieszkały w Grodzisku, więc to też miało znaczenie, że nasi znajomi już tu mieszkali. Mąż koleżanki, który stąd pochodzi, tak zachwalał Grodzisk, że zrobiliśmy rekonesans. Tak ważna dla nas logistyka i dojazd do zespołu wówczas były zachęcające, a teraz jest idealnie, bo jeszcze mamy auto-

stradę. Wsiadłam w samochód i do rodziców w Lubuskie jadę cztery godziny. Udało nam się wtedy kupić mieszkanie na obrzeżach Grodziska. Przypominało nam to podmiejskie

TA OKOLICA JEST ZNACZĄCA HISTORYCZNIE, KULTURALNIE, PRZYRODNICZO I TOPOGRAFICZNIE

tereny. Teraz na ulicy Na Laski jest pełno nowych domów, ale ta lokalizacja i to mieszkanie absolutnie nam odpowiadają. Niewielkie, ale pasujące, bo z ogródkiem.

Grodzisk bardzo się zmienił przez piętnaście lat?

Na pewno był inny, bo mniej zaludniony. Mniej było budynków czy szeregowców. Tu gdzie była łąka, teraz stoją domy.

Szkoda tej łąki?

Szkoda. Ale to naturalny rozwój takiego miasta. Nawet w moim rodzinnym Dreżdenku jest podobnie. Wszystko szybko się zmienia. Łąki załują, bo my lubimy kontakt z naturą, ale jak jest ziemia, to rozumiecie, że ludzie chcą się budować.

Ma Pani swoje ulubione miejsca w okolicy?

Nasze serca podbiły Stawy Walczewskiego. Korzystamy z tego, że mamy je tak blisko i bywamy tam prawie codziennie. Tam jest taka wspaniała różnorodność – świetny plac zabaw, możliwość popywania latem na kajakach i na rowerach wodnych, przyroda. Córka jest fanką tego miejsca i może pójdzie w ślady brata, który jest zapalonym żeglarzem. Na stawach jest szkółka żeglarska, więc jeśli będzie miała do tego inklinację, ma gdzie zacząć przygodę z żaglami. Rodzinnie jesteśmy też fanami Centrum Kultury. Syn jak był mały, chodził tam na zajęcia taneczne i na szachy. Bardzo lubimy Mediatekę. Z córką uwielbiamy tamtejszą bibliotekę – każda z nas ma swoją kartę, bo często tam bywamy. Duże wrażenie robi przestrzeń kultury na dworcu PKP. Rewelacyjny

GRODZISK MNIE PRZEKONUJE OD TYLU LAT. LUBIĘ MIEJSCA ZWIĄZANE W JAKIŚ SPOSÓB Z KULTURĄ. A TO JEST MIASTO, W KTÓRYM DUŻO SIĘ DZIEJE

pomysł. Najpierw odkryłam to miejsce sama, a potem zaraziłam rodzinę. Córka tam tańczyła jako trzylatka, podczas występu zespołu z Ukrainy. Mieliśmy tam też swoją wystawę jako „Mazowsze”, a ja zostałam zaproszona jako kierownik baletu z ramienia zespołu. Swoją urok mają także Stawy Goliana. Dobrze kojarzy mi się Park Skarbków, gdzie „Mazowsze” występowało na scenie plenerowej. Grodzisk coś w sobie ma. Jestem taką osobą, która jeśli czegoś nie czuje, to nie jest w stanie się przekonać. Grodzisk mnie przekonuje od tylu lat. Lubię miejsca związane w jakiś sposób z kulturą. A to jest miasto, w którym dużo się dzieje.

Okolice też Pani zwiedza?

Miejsca spacerowe i takie, gdzie są grzyby. Jeździmy w kierunku Adamowizny, Kukłówki i do Radziejowic.

Grodzisk to docelowe miejsce do życia?

Nie czuję potrzeby zmiany. Jeśli już, to ciągnie nas do jakiegoś domku na wsi. Teraz jednak potrzebujemy mieć blisko do przedszkola, szkoły, na zajęcia taneczne czy na konie do stajni. Przy takim zawodzie, jaki wykonujemy, odległość ma kolosalne znaczenie.

Zespół „Mazowsze” jest w Grodzisku częstym gościem.

Mamy świetny kontakt z księdzem Jarkiem Miętusem, proboszczem parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy, i staramy się lobbować, aby w kościele przy Piaskowej występować. „Mazowsze” było też w kościele Miłosierdzia Bożego przy Orzeszkowej, ale nie tylko. Chcemy w różnych przestrzeniach w Grodzisku pokazywać się z różnym repertuarem. Wtedy czujemy się jeszcze bardziej grodziszczanami i mówimy: „Mazowsze” występuje w naszej parafii. Zaczy-

namy się utożsamiać z tym miejscem, bo te piętnaście lat to dużo i niedużo.

Korzysta Pani z wydarzeń organizowanych w gminie?

Korzystamy z tego, co proponuje Centrum Kultury. Lubimy bywać na wydarzeniach sportowych. Syn brał udział w zajęciach tenisa stołowego, bo Grodzisk tenisem stoi. Chodząc na różne zawody, byłam zafascynowana, że można tak siedzieć i patrzeć i być pod wrażeniem. Jednym z ulubionych miejsc jest także basen. Bardzo oczuliśmy, że pandemia sporo pablokowała i z wielu rzeczy nie można było korzystać.

Miasto to także ludzie.

Cenię, że spotkałam tutaj wiele ważnych dla mnie osób. Zbyszek Kamiński. Połączyły nas dzieci. Jego syn chodził z naszym synem do przedszkola. Ojciec Zbyszka, Wiesław Kamiński, pełnił tu role urzędowe w czasach PRL-u, a mimo to cieszył się dużym szacunkiem i piastował ważne funkcje również w wolnej Polsce. Zbyszek dał mi wiedzę o Grodzisku. Burmistrz Grzegorz Benedyckiński, z którym mieliśmy kontakt poprzez „Mazowsze”, jest dla mnie ważną postacią. Od tylu lat jest tutaj gospodarzem, więc jest istotnym elementem obrazu Grodziska, w którym nieustannie coś się dzieje pozytywnego i kulturalnie, i administracyjnie. To miasto kwitnie. Dostownie i w przenośni, bo dba się o zieleni i – co podkreślam wśród znajomych – Grodzisk jest ładny o każdej porze roku. Jest pięknie ukwiecony, więc koncepcyjnie ktoś ma fajny zmysł i pomysł, a to przyciąga.

To miasto przyczyniło się też do niezwyklej znajomości z konsulami Anną i Mariuszem Dajnowskimi, która zrodziła się... na końcu świata, czyli na Syberii. Mój mąż Tomasz – były chórzysta „Mazowsza” – obecnie pracuje w grupie technicznej zespołu i kiedy „Mazowsze” wybierało się na Syberię, pojechał miesiąc wcześniej do Irkucka z dyrektorem zespołu i menadżerem, żeby sprawdzić możliwości organizacyjne wyjazdu. To standar-

towa procedura. Mąż miał wiele wątpliwości logistycznych i nie palił się do tej wyprawy. Przekonywałam go, że nigdy tam nie byliśmy i na pewno będzie pięknie. Mąż wrócił stamtąd pod ogromnym wrażeniem ludzi i tego, że pani konsul, która ich odebrała z lotniska, powiedziała, że jest z... Grodziska Mazowieckiego! Nie zaliśmy się wcześniej, a oni mieszkają w Łąkach, mniej więcej tyle czasu co my na ulicy Na Laski. Kiedy „Mazowsze” poleciało na Syberię, czuliśmy się jak ziomale. Dajnowscy są już teraz w Polsce i przyjaźnimy się bardzo blisko. Śmiejemy się, że poznaliśmy się na Syberii, ale nasze miasto nas połączyło. A przecież mogliśmy mijać się w parku, w sklepach, w kościele czy na deptaku. Tych znajomości grodziskich jest sporo, m.in. Marcin Krupa, który dziś pracuje w Centrum Kultury, a kiedyś w „Mazowszu”.

Ma Pani ulubione miejsca na zakupy?

Mam ulubione sklepiki na osiedlu Teligi i Barida – niewielki warzywniak, piekarnia i sklep

mięśny oraz „Martusia”. Niestety, jak mam iść do marketu i stać w kolejkach, to robię się chora. Od czasu do czasu jeździmy na targ, ale wolimy ten w Milanówku.

Grodzisk różni się od sąsiedzkich miejscowości?

Milanówek, Podkowa Leśna i Otrębusy są inne. Bardziej zalesione. To miasta ogrody. Grodzisk jest bardziej miastowy, ale na szczęście nie jest taki jak Pruszków, bo to taka sypialnia Warszawy.

Ale bliżej stolicy...

Z Grodziska też teraz nie ma problemu, żeby dostać się do Warszawy. Są różne możliwości komunikacyjne: kolejka, pociąg, są autobusy i łatwy dojazd.

Proszę dokończyć zdanie: Grodzisk to...

Bezpieczeństwo i wygoda. Mój syn nie boi się wieczorami chodzić po mieście. Ja też nie



ANDRZEJ SAPIJA

ur. 1954



reżyser, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu i Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi.
Wykładowca PWSFTiT w Łodzi.

Z czym kojarzy się Panu Grodzisk?

Przyjazność, bezpieczeństwo, dobrze znana przestrzeń, w której zawsze wiem, gdzie jestem. Genius loci tego miejsca to relacje z ludźmi.

Kiedy w Pana życiu pojawiła się nazwa „Grodzisk Mazowiecki”?

Stosunkowo wcześniej, biorąc pod uwagę mój wiek. Od lat osiemdziesiątych przejeżdżałem często przez Grodzisk po drodze z Warszawy do Łodzi. Grodzisk zapamiętałem jako mijaną stację. Jako miejscowość pojawił się mniej więcej piętnaście lat temu. Zostaliśmy wraz z żoną zaproszeni do naszych warszawskich znajomych, którzy osiedlili się w Czarnym Lesie. Któregoś razu na spacerze rozmawialiśmy o wyjątkowym uroku tego miejsca. Od słowa do słowa okazało się, że jakaś pani z powodu okoliczności życiowych chce pilnie sprzedać działkę. Pomyśleliśmy z żoną, że może warto zdecydować się na zakup, traktując to jako lokatę kapitału. Działka nieduża, więc mały kłopot. Nabyliśmy ją.

PRZEJEŹDZAŁEM CZĘSTO PRZEZ GRODZISK PO DRODZE Z WARSZAWY DO ŁODZI. GRODZISK ZAPAMIĘTAŁEM JAKO MIJANĄ STACJĘ

Czyli zdecydował przypadek.

Przypadek, uruchamiający pewien proces, który spokojnie się toczył. Przez jakiś czas przyjeżdżaliśmy tu na weekendy. Tak się złożyło, że w tym czasie ciocia mojej żony budowała się w Nadarzynie i dała nam taki sowiecko-radziecki wagon do pomieszkiwania. Byliśmy szczęśliwi, bo mieliśmy nocleg. Zaczęło się pierwsze grzebanie w ziemi. Po dwóch latach zakiełkowała myśl, że może by tak tutaj spróbować i coś zbudować. To nie była nagła decyzja, że coś musimy. Potraktowaliśmy to jako alternatywę. Było bardzo dobre mieszkanie w Warszawie, a Czarny Las – stosunkowo niedaleko i z dobrym dojazdem.

Jakie są plusy i minusy tego miejsca?

Właściwie są tylko plusy. Z perspektywy człowieka wykonującego wolny zawód, nie mam żadnego problemu komunikacyjnego. Pod tym względem Grodzisk jest usytuowany wyjątkowo. Są trzy trasy samochodowe i dwie alter-

natywne trasy pociągowe. I gdyby to porównać z Warszawą, a mieszkam tam w wielu punktach, to dojazdy do centrum z dalekich dzielnic – z Białoteki czy Wilanowa, to dobre 40 minut lub dłużej. Dlatego logistycznie mieszkanie tu jest to dla mnie wspaniałe. Czarny Las to takie minimiasteczko, w którym mieszkam na uboczu pod lasem. Nie mam światłowodu, co jest minusem, ale mam las. Chodzę tam z psami, jeżdżę na rowerze, zbieram grzyby.

Są dzikie zwierzęta?

Tak! Mam wiele historii związanych ze zwierzętami. Ostatnio była akcja ratowania nowo narodzonego raniuszka. Były dyżury, które pełniliśmy, aby ocalić go przed psami i kotami. Są u nas trzy koty, a raniuszek ma taki cykl

wychowania, że rodzice wyrzucają go z gniazda na trawę i on tam nabiera sił, jest karmiony i po jakimś czasie odlatuje. Byliśmy szczęśliwi, że te ptaszki zbudowały gniazdo tuż przy naszym domu. Codziennie oglądaliśmy proces karmienia. Niestety nie było happy endu. Nie wzięliśmy pod uwagę, że nie tylko koty jedzą ptaszki, ale i inne ptaszki też. Przyleciały sójki i naszego raniuszka zeżarty.

Jak Pan postrzega Czarny Las?

W kategoriach urbanistycznych to obrzeża miasta. Ostatnio usłyszałem, że sąsiad, który jest miejscowy, ma poczucie dyskomfortu i mówi, że się wyprowadzi, bo jako prawdziwy chłop ze wsi, źle się tu czuje, gdyż takich jak on już tu nie ma. Wszyscy są miastowi, nikt nic nie uprawia. Jego zdaniem, jeżeli chodzą na grzyby, to jest to pewnego rodzaju fanaberia.

Grodzisk to interesujące miasto?

Jako reżysera, dokumentalistę, ciekawią mnie

historie miejsc i ludzi. Tutaj też odkryłem elementy tej historii. To jest ciekawe. Mnie tu odpowiada taka przyjazność przestrzenna, człowiek ma poczucie identyfikacji – po prawej jest to, po lewej to, wiadomo co przede mną, co za mną. W dużych aglomeracjach sami sobie zawężamy pewien obszar, gdzie orientujemy się w topografii. Tutaj ta topografia jest taka, że możemy myślowo nad nią zapanować.

Które miejsca w Grodzisku najczęściej Pan odwiedza?

Są to siłą rzeczy okolice dworca, bo wiem, na którym parkingu zostawić samochód, gdy jadę do Warszawy. Przy deptaku jest cukiernia, której właściciela, pana Edwarda, poznałem przy okazji pracy nad filmem o naszym znakomitym artyście Bohdanie Łazuce. Odwiedzam

NIE MIAŁEM POJĘCIA, ŻE TUTAJ NOCOWAŁ HITLER TUŻ PRZED KAPITULACJĄ WARSZAWY

dom kultury, pasaż, owoce kupuję u tych samych sprzedawców. To właśnie pozwala poczuć przyjazną obecność w tej przestrzeni. Człowiek nie jest w pełni anonimowy. Pani w kiosku, u której zawsze w piątki kupuje gazetę i znam ją tylko z głosu, ma fajną odzywkę: „Dzisiaj prawie siedem złotych. Bez jednego grosza”. Ona zawsze to powtarza. Każdy ma coś swojego i niepowtarzalnego. Jest przychodnia pani Siwek przy Piaskowej. Cudowna lekarka, która ma umiejętność patrzenia na człowieka całościowo. Staram się namierzyć dobrą pizzę, bo mam do niej stałość. Dostałem parę adresów i będę je teraz sprawdzał.

Zrealizował Pan dokument „W naszym miasteczku wojna”. To pozwoliło Panu poznać historię Grodziska?

Ciekawi są zawsze ludzie. Każdy jest inny. Starsza pani, która była świadkiem egzekucji w czasie wojny. Cudowny harcerz. Pamiętam te rozmowy. To była praca angażująca i dla mnie niezmiernie ciekawa. Po realizacji filmu mam wrażenie, że zbliżyłem się do tego miejsca. Nie chcę powiedzieć, że stałem się czę-

ścią tej społeczności, ale miałem satysfakcję podczas pokazu filmu w Mediatece. Nie zrobiłem nic nadzwyczajnego, ale coś zapisałem, jakiś fragment. To zostanie. Mam poczucie, że to jest ważne. Były też dla mnie odkrycia. Nie miałem pojęcia, że tutaj nocował Hitler tuż przed kapitulacją Warszawy. Wstrząsające obrazy bitych Polaków na posterunku w Grodzisku. W tej pracy były także przyjemne elementy. Widziałem, że ci ludzie są przejęci historią, że jest to żywe i ważne. To buduje poczucie relacji, że nie czuję się tutaj całkowicie przypadkowy i obcy. Kiedy nagrywałem zdjęcia plenerowe z miasta, była chyba czwarta nad ranem w niedzielę. Zobaczyłem pusty Grodzisk. Widać wtedy architekturę, układ ulic, pewien klimat, aurę. Przy tym były wspaniałe konfiguracje chmur. Powoli się rozjaśniało. To są piękne chwile i zdjęcia.

Pokazuje Pan miasto znajomym, gdy przyjeżdżają w odwiedziny?

Mam cztery kilometry do Grodziska. Znajomych

przeważnie odbieram z dworca. Tu przyjeżdżał nasz wybitny, nieżyjący już dokumentalista Kazimierz Karabasz. Był u mnie parę razy. Gościliśmy tutaj ludzi polityki, kultury i sztuki. Zawsze przejeżdżam różnymi trasami i pokazuję im, co się buduje. Chwale się, że tutaj jest wspaniale. Nie czuję, bym mieszkał na uboczu czy prowincji. Kategoria prowincji nie ma tu jakiegokolwiek odniesienia, bo w kategoriach urbanistycznych jest to część czegoś wielkiego.

Mówił Pan, że ważne są relacjez ludźmi. Udało się je nawiązać z sąsiadami?

Są bardzo zróżnicowani. Siłą rzeczy poznaje się na początku tych, którzy są najbliżej. Pani, która ma jakieś ziota i zajmuje się sprawami ekologicznymi. Jest Heniek, który nam we wszystkim na początku pomagał. Obok mieszkał sąsiad, abnegat, żyjący w ruinie, bez światła, prądu, ale z psem i gotębiami. Ma wokół mnóstwo ziemi. Sporo rozmawialiśmy, często wtrącał zwroty w różnych językach i badał, jak na to zareaguję. Kiedyś zapytałem, dlaczego nie sprzeda kawałka ziemi i nie doprowadzi sobie

prądu. Odpowiedział, że chce chodzić po swoim. To wybór i taka filozofia życia. Nie wiem, na ile było to autentyczne. Druga strefa to ludzie bardzo wykształceni i zajmujący wysokie stanowiska. Tych sąsiadów pojawia się coraz więcej, bo trwa rozbudowa przy Choinowej.

Żal?

Nie. Nie. To jest naturalny proces. Na razie nie jest to bezpośrednie sąsiedztwo, ale każdy nowy przybywający daje nadzieję, że będzie kanalizacja, bo umowy na wodociąg już mamy. Ideologicznie jest to zróżnicowane miejsce. Mamy skrajnych zwolenników obecnego rządu, skrajnych przeciwników, ale staramy się unikać konfrontacji.

W jakim filmie mógłby wystąpić Grodzisk?

Grodzisk mógłby zagrać w mrocznym kryminale współczesnym. Dzięki infrastrukturze drogo-

wej i nowoczesnym inwestycjom jest możliwość szybkiego przemieszczania się po Europie. Grodzisk mógłby więc być tłem dla opowieści o współczesnych mechanizmach władzy, finansach i korupcji. Nawet na skalę międzynarodową. Byłoby ciekawe, zobaczyć w tej krainie szczęśliwości mroczne elementy. Ale równie dobrze mogłaby to być komedia.

Jest tu potencjał, by zorganizować jakieś duże wydarzenie filmowe?

Myślę, że Grodzisk mógłby stać się miejscem festiwalu o sztuce. Nie ma takiego festiwalu w Europie. Pojawiały się w Zakopanem, w Paryżu, ale z czasem poupadały. Takim najbardziej prestiżowym festiwalem jest ten w Montrealu. A do Grodziska łatwo jest przyjechać. To musiałoby mieć poparcie władz lokalnych, mogłoby się stać świętem miasta. Produkcja takich wydarzeń jest niebywata.

